Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 14 Warszawa, Niedziela 26 kwietnia 1936 r. Rok I

Królewięta „amcą"!

Jak to dzisiaj i dawniej Polskę „zbawiano"

Poprzedni „tydzień ubiegły" opublikowany na łamach „Wiem Wszystko" poświęcony był w całości wynurzeniom p. Matuszewskiego, który w „Gazecie Polskiej" załamywał, niewątpliwie nie bez cienia słuszności ręce nad publicznem marnotrawstwem i szałem reklamy...

Ważkie to zarzuty,

i dzisiaj, w obliczu najnowszych wydarzeń,

warto dokładniej i szerzej zająć się tą sprawą.

Nie zawsze marnotrawstwo jest dyktowane złą wolą. Nie zawsze szał reklamy pochodzi z prymitywnej głupoty lub chęci bezpośredniego, osobistego zysku. Często — i właśnie to jest najgorsze — ludzie działają w ten sposób

w najlepszej wierze

a przynajmniej sądzą, że działają dobrze. Oczywiście, że przeważają wśród nich zarozumialcy, durnie i osobniki na niskim stopniu moralności, którzy łatwo i bez skrupułów umieją swój osobisty interes połączyć ściśle z interesem publicznym.

„To, co uważam za dobre, musi być objektywnie dobre dla narodu".

Zapominają lub przemilczają, że większą tu odgrywa rolę ich osobisty interes, na tle ich chciwości czy niezdrowej ambicji.

I tak działać może nie tylko wybitny mąż stanu, ale i referencina, który potrafi niewyspecjalizowanemu w danym temacie otoczeniu wywiercić dziurę w brzuchu i

przeprowadzić jakąś poprawkę do ustawy,

która rzekomo ma zbawić Polskę, a w gruncie rzeczy fatalnie odbija się na całości naszej gospodarki narodowej.

Wszyscy zbawiają Polskę. Od kilkuset lat czynili to jedni — dziś czynią to drudzy. I w ciągu tych długich wieków znalazł się jeden jedyny człowiek, który potrafił być biczem na tych „zbawców":

Pierwszy Marszałek Polski.

Nienawidził tej okropnej wady Polaków, walczył z nią bezwzględnie i między innemi, tej walce całe swoje życie poświęcił.

Nie ukończył jej. Zdziałał jednak wiele. Całe społeczeństwo, całe 34-miljonowe państwo rozumiało dobrze, do czego dążył i nie będzie to zwrotem retorycznym, jeśli powiemy, że wszyscy z całych sił chcieli nieść Mu w tem pomoc. Lecz nie wszyscy zrozumieli albo nie chcieli zrozumieć metody tej walki. Metodą zaś było

zmuszenie społeczeństwa do karności i dyscypliny.

Gwarancją skuteczności tej metody był olbrzymi, nieznany dotychczas w historji Polski autorytet jednego wielkiego człowieka.

Dzisiaj rząd objął przekazane sobie dziedzictwo i wziął się do pracy w myśl pozostawionych mu wytycznych. Niestety, niewykorzeniona jeszcze niekarność, przejawiająca się raz poraz w chęci

zbawiania Polski na własną rękę

i w tym szale marnotrawstwa i popisu, wciąż staje mu na drodze. Rzuca kłody pod nogi.

Są to jednak ostatnie przeszkody. Mamy nadzieję i wierzymy, że przy pomocy społeczeństwa, w większości swojej jednak karnego i pragnącego uporządkowania stosunków, przeszkody te wkrótce znikną.

Dlatego też nie rozważajmy dalej szczegółów dzisiejszej rzeczywistości. Wspomnijmy, że ta

niekarność była naszą wielką wadą

od wieków. Sięgnijmy do przeszłości. Historia magistra vitae.

✶

Nie będzie to rozprawa historyczna. Zawodowy historyk znajdzie w niej wiele nieścisłości. Chodzi nam tylko o pewną syntezę dziejową, o coś, w rodzaju algebry historycznej. Mniejsza z tem, czy w dawnym momencie kanclerzem był Jerzy Ossoliński a wichrzycielem Samuel Zborowski. Anachronizmy nie będą nas razić. Nazwisk zresztą przytaczać nie będziemy, by nie wywoływać dyskusji. Nie będziemy dbać również o daty. Kto zechce dowiedzieć się dokładnie — odsyłamy go do Szajnochy, Szujskiego, Kubali, Łozińskiego czy nawet do Górki.

✶

Tytuł naszych historycznych rozważań brzmi:

KRÓLEWIĘTA W POLSCE

Któż o nich nie słyszał, choćby z podręczników szkolnych czy książek Sienkiewicza. Niewielu ich było. Nie stali u szczytu władzy. Nikt ich nie popierał. Naród burzył się przeciwko nim. A jednak

byli silni i groźni,

dzięki wpływom i majątkom, pochlebstwem czy groźbą u królów wyproszonym. Stali samotni, wspomagani jedynie przez klikę klijentów, których czy to żywili, czy to

obiecywali żywić w przyszłości.

Klijenci i familjanci byli starannie dobierani; zdolni do wszystkiego prawem czy lewem.

Cały naród: szlachta i lud, stali wiernie przy Królu Jegomości. Kanclerz Wielki Koronny wraz z mocnym statystą Podskarbim w wielkim znoju

nad całością i bezpieczeństwem Rzeczypospolitej

się trudzili, czasy bowiem były ciężkie, wielkiej czujności wymagające. Ale królewiątkom polskim za nic był sam Król Jegomość, za nic Kanclerz czy inny prawy dygnitarz. Sami we własnym umie środki ku naprawie Rzeczypospolitej znajdowali, o swoich najbliższych nie zapominając nigdy. „Pan Bóg wysoko a król daleko". Każdy we własnych włościach rządził się niepodzielnie, nikogo nie słuchając.

Pan Wojewoda wołyński mimo **uniwersałów królewskich własną politykę na Rusi uprawiał,** fantazji swojej folgę dając. Raz z tamtejszymi inkolami

bratając się niepomiernie,

drugim razem ogniem i mieczem wsie wschodnie pustosząc. Gdy mu Komisarza królewskiego do pomocy i współ pracy przysłano, zbirami własnymi przegnać go kazał i groźby do Warszawy posyłał.

Smutną sobie również kartę zapisał Wojewoda krakowski. Koło siebie wszystkich niechętnych gromadził

a na nocnych hulankach z gamratkami tańcując,

mniemał, że tem sobie mir pospólstwa zyska i siebie ponad wszystko postawi.

> ### EXTRA
>
> **Pierwszym etapem walki Rządu premjera Zyndram-Kościałkowskiego z rozwielmożnioną mafją jest zwolnienie ze stanowiska wojewody krakowskiego p. Kazimierza Świtalskiego, a ze stanowiska prezesa komisji oszczędnościowo - oddłużeniowej dla samorządów p. Ignacego Matuszewskiego.**
>
> **Opinja publiczna zwolnienia te przyjęła z westchnieniem ulgi, czekając jednocześnie na dalsze, równie energiczne posunięcia Rządu, które zapewnią Rzeczypospolitej ład, spokój i bezpieczeństwo.**

A gdy w mieście zamieszki niektóre powstały i niezadowolenie plebsu

rebelją groziło,

nie chciał nikogo słuchać, z rad pana marszałkowych sobie mocno dworując, listy jego do pieca wprost nieść kazał. Na skrzywdzone zaś pospólstwo halabardników i kozaków nasłał, z przykazaniem nieszczędzenia pardonu. Za co go wreszcie Pan Kanclerz Koronny na trawkę zieloną wysiudał.

Pan wojewoda lwowski niezgorzej sobie poczynał. Sam dufny w swoją mądrość i siłę, **na własną rękę szalę wypadków przeważać się ośmielał,** a gdy plebs głodny, na ulice miasta wylegał rozżarty, głowę tracił i z muszkietów do oponentów kropić kazał.

Ciężkie wówczas chwile przeżywali ludzie, którym troska o Rzeczypospolitą przekazana była. Ważne inne sprawy nie pozwalały im statim siłą zło wyplenić. Zresztą i tuż koło siebie wielce gorszących teatrum mieli,

gdy różne pany i dostojniki

za łby się wzajemnie wodząc, o nakazy królewskie nie dbali, prawa nie szanowali a tylko o poklask motłochu dbając.

Ale tu nie kończyły się wszystkie dolores. Za przykładem możnych, wielu starostów dominia swoje za niezawisłe imperjum miało. Dóbr królewskich tenentes — tenuty prawej płacić nie chcieli, inni na żupach jak na swoim folwarku rej wodzili. Nawet żydowiny podstępne, na wiarę chrześcijańską przeszedłszy,

chytrze pecunia publiczne w arendę wzięli,

pachołków cum manu armata koło siebie postawili i żadnych rozkazów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej słuchać nie chcieli.

Biedzili się nasi statyści, biedził się pan Kanclerz i pan Podskarbi Koronny, zwołna jeno, jak ryby z saku, żarłoczne szczupaki jeden po drugim łapiąc, ubijali i kraj oczyścili. Boska Opatrzność albowiem czuwała nad nami. Mężni hetmani stali wiernie przy boku króla Jegomości, patriam swoją szlachetnie broniąc, nie tylko coram wrogą zewnętrznego ale i wewnętrznego. I póki królewięta różne **siłą do posłuchu zmuszane, vitia swoje kryć musiały, póty Rzeczpospolita kwitła.**

Polonus.

Rozbieżność?

Czy też ktoś minął się z prawdą...

Oficjalny komunikat P. A. T. opublikowany dn. 21 b. m. w całej prasie przyniósł wiadomość, która przytoczona dosłownie, brzmi następująco:

„Prezes Rady Ministrów zwolnił (nasze podkreślenie) p. Ignacego Matuszewskiego ze stanowiska prezesa komisji oszczędnościowo - oddłużeniowej dla samorządów".

Tak brzmi komunikat oficjalny, powtórzony przez całą prasę za wyjątkiem... „Gazety Polskiej", która w numerze z dn. 21 kwietnia r. b. donosi:

„W dniu wczorajszym p. Ignacy Matuszewski zgłosił prośbę (nasze podkreślenie) o zwolnienie ze stanowiska prezesa komisji oszczędnościowo - oddłużeniowej dla samorządów. P. premjer przychylając się do prośby — zwolnił p. Ignacego Matuszewskiego z tego stanowiska".

Co za dziwna dwoistość nomenklatury... Czyżby oficjalny komunikat PAT-icznej nie odpowiadał prawdzie, czy może redakcja „Gazety Polskiej" z rozpaczy... straciła głowę?

(p).

Pan prezydent Schacht

Wielki »czarownik« III-ej Rzeszy

Jedną z najbardziej zagadkowych postaci życia publicznego współczesnych Niemiec jest prezydent Banku Rzeszy i zarazem minister Gospodarstwa Krajowego dr. Hlejmar Schacht. Ten długi, chudy pan w binoklach, o skandynawskiem imieniu, napsuł już ludziom wiele krwi i napewno jeszcze wiele napsuje. Ów wielki dygnitarz hitlerowski **nie jest... hitlerowcem.** To oczywiście jeszcze nie oznacza, że jest przeciwnikiem narodowego - socjalizmu. To byłoby już trochę za wiele! Pan Schacht jednakże nie kryje się z tem, że gospodarcze teorje narodowego - socjalizmu są mu nietylko obce, ale otwarcie je zwalcza. Jak długo on jest u steru, tak długo różne teorje antykapitalistyczne pozostaną w sferze teorji, ba...głosiciele sprzecznych z nim poglądów gospodarczych muszą się pilnować, **by ich nie dosięgła mściwa dłoń** prezydenta Banku Rzeszy.

W tych warunkach nasuwa się pytanie dlaczego reżym narodowo - socjalistyczny toleruje na tak ważnych placówkach obcego sobie ideowo człowieka? Dlaczego taki właśnie człowiek jest w pełni tego słowa znaczeniu **dyktatorem gospodarczym Trzeciej Rzeszy?**

Nie tłumaczy tego faktu, że dr. Schacht odegrał poważną rolę w przygotowaniu Hitlerowi terenu dla objęcia władzy. Więcej było takich, a może i bardziej zasłużonych, a mimo to zniknęli z horyzontu politycznego albo nawet z tego świata. Nikt oczywiście nie zaprzeczy, że dzięki p. Schachtowi **przemysł niemiecki w krytycznej sytuacji** stanął u boku Hitlera i w ten sposób przesądził o dalszym biegu wypadków, że wobec p. Schachta właśnie Hitler złożył swoje oświadczenia dezawuujące program gospodarczy jednego z współtwórców partji narodowo - socjalistycznej inż. Gotfrieda Federa i dzięki temu umożliwił przemysłowi zajęcie miejsca u swego boku. Ale jak już wspomnieliśmy, **to wszystko mało.** To są zasługi historyczne. Na to długo liczyć nie można.

Schacht zawdzięcza swoje stanowisko jedynie sobie samemu. Ten ambitny człowiek, ongiś członek **niemieckiej partji demokratycznej,** tem się różni od wielu sobie podobnych ludzi, że wie czego chce, wie co można w danej sytuacji zrobić. Jest 100% realistą.

Przeciwnicy jego zapytani na czem polega dominujące stanowisko Schachta odpowiedzieli: kiedy na posiedzeniu Rady ministrów rozważane są jakieś sprawy gospodarcze, każdy z członków rządu mówi, ale **on jeden przychodzi już z gotowym planem.** Gdyby się znalazł ktoś z członków partji, któryby przyszedł na posiedzenie z planem, wówczas możeby Hitler poświęcił Schachta. A tak dr. Schacht jest niezwyciężony, im bardziej jest znienawidzony, tem mocniej się czuje.

Wszyscy się go w zasadzie boją i uważają równocześnie za magika. Ta sława magika, czarodzieja zresztą **najwięcej pomaga dr. Schachtowi.**

W Berlinie opowiadają na ucho kawał charakteryzujący w dużym skrócie taktykę dr. Schachta. Trzej dygnitarze Rzeszy udali się wspólnie do restauracji. Nikt ich nie poznał. Udało się to dzięki temu, że jeden przybył w skromnym garniturze cywilnym (Goering), drugi nic nie mówił (Goebbels), a trzeci, **dr. Schacht, zapłacił rachunek.**

Dr. Schacht wydoskonalił system niepłacenia, przyczem czyni to... **w imię obrony interesów wierzyciela.** Takiego kunsztu nie byle kto dokaże. To jest pierwsza podwalina dr. Schachta.

W normalnych warunkach dłużnik niepłacący naraża się na wiele przykrości, traci kredyt, i t. p. Ale nie p. Schacht.

Wymyślił cały system dewizowy, stworzył potężną machinę urzędową, regulującą obroty dewizowe wewnątrz kraju. Zaledwie mała garstka ludzi wyznaje się w tym gąszczu różnorakich przepisów. I dr. Schacht dokazał cudu: **waluta, która nie ma pokładu złotowego, trzyma się.** Oczywiście tylko formalnie, ale faktem jest, że się trzyma, że formalnie nie nastąpiła ani dewaluacja ani też inflacja.

P. dr. Schacht jest zbyt wielkim praktykiem finansowym, żeby nie wiedział, że taki stan rzeczy nie da się długo utrzymać. Rachuby na wskoczenie Niemiec **do ogólno - światowej konjuktury gospodarczej zawiodły,** chociażby z tego powodu, że ta oczekiwana konjunktura jakoś zawiodła.

Sytuacja przykra. Zadłużenie wewnętrzne olbrzymie. Kredytów zagranicznych nie ma, zresztą któżby chciał dać na budowę samolotów bombowych czy armat? Zbrojenia jeszcze nie są ukończone a tutaj groźba klęski zawalenie się waluty. Co robić?...

Z końcem marca odbyło się w Bazylei posiedzenie władz **Banku Wypłat Międzynarodowych.** Na zebranie to przybyli przedstawiciele instytucyj emisyjnych. Nie brakło i p. dr. Schachta

Niemiecki dyktator gospodarczy nie gardzi wycieczkami. Znajduje czas na przemówienia, nawet w małych prowincjonalnych miasteczkach. Nic to, że przemówienie takie staje się powodem interwencji dyplomatycznej ze strony zaprzyjaźnionego państwa, że treść jego **odbiega od wytycznych polityki rządu.** P. Schachtowi nie można właśnie nic zakazać. Dla pocieszenia dodaje się, co zresztą odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, że p. Schacht nie posiada żadnego wpływu na bieg polityki.

Ale za to z dr. Schachtem mówią, tam za granicami Rzeszy gdzie **nie przyjmuje** się żadnego przedstawiciela Trzeciej Rzeszy, a więc w kołach finansjery żydowskiej, różnych międzynarodowych ugrupowań gospodarczych i t. p. A te kontakty z różnemi znienawidzonemi „międzynarodówkami" są jednak potrzebne. P. Schacht ma dla nich zawsze jakąś „rewelację" w postaci jednego z wielu przemówień, w zanadrzu **obietnice o płaceniu zamrożonych należności** wzamian za przełamanie bojkotu gospodarczego.

Tajna ekskursja na wody skandynawskie nie dała rezultatu. Dr. Schacht obiecywał sobie, że skłoni Szwedów do pośrednictwa w Londynie. Stosunki finansowe między Skandynawją a Anglją są bardzo zażyłe. Centralną postacią świata finansowego **jest żyd Wallenberg.** Nie udało się, ale nie spowodu żydostwa szweckiego finansisty, który zresztą „siedzi" w przemyśle wojennym. Zdecydowały tutaj socjalistyczne rządy Skandynawji oraz własne przykre doświadczenie. Trzeba bowiem przypomnieć, że kapitałowo najbogatsza Szwecja **ma zamrożone należności** w Niemczech.

Jednak p. Schacht nie ustaje. Stwierdziwszy, że pożyczka gotówkowa nie jest możliwa, wpadł na inny pomysł. (Również pożyczka na zakup surowców w Anglji była brana w rachubę, ale rokowania z City londyńską nie doprowadziły do żadnego rezultatu) Otóż wiadomo, że rozważaną jest ciągle **sprawa stabilizacji walut.** Wybitni ekonomiści wskazują, że obecny stan przyczynia się jedynie do pogłębiania kryzysu.

Równolegle więc z rokowaniami politycznemi, które toczyły się w Londynie i omal nie doprowadziły do zmartwychwstania osławionego „Paktu Czterech" p. dr. Schacht wszczął kroki celem ukoronowania sukcesów politycznych **zwycięstwem finansowo - gospodarczem**

Przedstawił on bowiem kierownikom banków emisyjnych, w **St. Zjednoczonych A. P., Anglji i Francji,** konieczność przywrócenia stałej relacji między walutami tych państw i walutą niemiecką. P. Schacht udowadniał, że takie porozumienie byłoby I-ym krokiem umożliwiającym w następstwie międzynarodową konferencję stabilizacyjną. Oczywiście, że następna konferencja znalazłaby się **w sytuacji biednych krewnych,** których wprawdzie zaproszono do stołu obrad, ale powiedzieć wiele nie mogą, gdyż słuchać będą musieli tego, co nakaże starszyzna!

Plan p. Schachta uznano za godny bliższego zbadania (Podobnie jak dyplomacja uznała plan Hitlera!) Spotkanie osobiste, celem bliższej i szczegółowej wymiany zdań, ustalone zostało w Bazylei. Dygnitarze przyjechali na posiedzenie Rady Banku. Krótka wymiana zdań z delegatem Rzeszy, poczem przyjęto jego zaproszenie **na wyjazd do pobliskiej miejscowości niemieckiej,** gdzie będzie dyskretniej... Panowie z banków emisyjnych uznali plan za wyborny.

Wieczorem duże szczelnie zasłonięte limuzyny zatrzymały się przy niemieckich słupach granicznych.

Straż była już uprzedzona, formalności niezbędne załatwione niesłychanie szybko.

A potem już bez przeszkód krótka podróż.

Wycieczka wydała się przypadkiem. Otóż kiedy wieczorem szukano jednego z owych zagranicznych finansistów i nie można go było znaleść, podejrzliwi dziennikarze zaczęli działać i bez wielkiego trudu zdołano ustalić **co się stało z czcigodnem gronem trustu finansów międzynarodowych.**

Pan Schacht przedstawił swoim gościom sytuację gospodarczą Niemiec. Zapewnił, że jakkolwiek obecnie Niemcy nie przekazują swoich zobowiązań zagranicy, to jednak nie przeszkadza faktowi ich istnienia **i nie uchylają się od wykonania ich** w swoim czasie. Odbudowa gospodarki niemieckiej postępuje szybko naprzód, leży to w interesie wierzycieli, gdyż zdrowe i bogate Niemcy potrafją płacić i kupować. Nikt odpowiedzialny nie myśli w Rzeszy o nacjonalizacji przemysłu czy bankowości, wręcz przeciwnie chodzi o przywrócenie pełnej rentowności, o rozbudowę kapitalizacji i systemu kredytowego. Niezbędnym warunkiem **jest zdrowa waluta.**

Otóż niemieckiej walucie grozi pewne niebezpieczeństwo. Niemcy, jak tego dowiodły, potrafją kurs swojej waluty same utrzymać. Wyłaniają się jednak różne trudności w obrotach zewnętrznych. Niestała relacja między głównemi walutami świata **jest szkodliwa dla wszystkich.** Z tego powodu i t. p.... No i tutaj następuje najważniejsza rzecz!

Dla stworzenia stałego kursu marki niemieckiej, niezbędną jest pożyczka stabilizacyjna. Dr. Schacht nie chce, by suma pożyczkowa wpłynęła do kas niemieckich. Jemu wystarczy jeśli pożyczka zostanie udzielona **i suma będzie leżała w bankach londyńskich** dla regulowania kursu marki niemieckiej.

Jak więc widzimy posunięcie pierwszorzędne. Co z tego wyniknie? Plan Hitlera próbują kancelarje dyplomatyczne i wiadomość o tem została podana do publicznej wiadomości, plan dr. Schachta badają skrycie władcy złota...

Jan Warner.

Pięciu przestępców w... kasie

To chyba jakaś pomyłka

Poruszyliśmy już na tym miejscu sprawę skandalicznych nadużyć w kolejnictwie. Afery kolejowe stały się wprost wydarzeniem codziennem. Ostatnio w sądzie okręgowym toczył się proces 5-ciu kasjerów Dworca Głównego, którzy puszczali w obieg fałszywe pieniądze. Pozostawali oni w kontakcie z fałszerzami monet, u których nabywali sfałszowane banknoty.

Ogółem w procederze tym brało udział 6-ciu kasjerów, jeden jednak w toku dochodzenia popełnił samobójstwo. Sąd okręgowy skazał kasjerów — jednego na 10 lat więzienia, pozostałych czterech po 8 lat. Surowa ta represja jest całkiem słuszna, jeżeli wziąść pod uwagę, że przestępstwo posiada zupełnie specjalny charakter.

Obywatel chyba ma prawo przypuszczać, że przynajmniej w kasie państwowej nie będzie oszukiwany i nie otrzyma falsyfikatu. Nie sprawdza on nawet pieniędzy, które otrzymuje z kasy kolejowej a tymczasem właśnie w tych kasach zasiadali członkowie bandy fałszerzy.

Ale już zupełnie niesłychanym faktem jest co innego. **Oto, jak okazuje się, kasjerzy - fałszerze monet po ujawnieniu afery pozostali na stanowiskach w kolejnictwie.** Wydaje się to wprost nieprawdopodobnem, że dopiero po aresztowaniu na sali sądowej, po ogłoszeniu wyroków skazujących na długoterminowe więzienie — sprawcy zuchwałej afery przestali pracować w kolejnictwie.

Stan faktyczny przedstawia się w sposób następujący. Po ujawnieniu afery władze aresztowały wszystkich kasjerów. Po zakończeniu najważniejszych czynności dochodzenia, w więzieniu pozostawiono kasjera Michałowskiego natomiast pozostałych kasjerów - fałszerzy Gizelewskiego, Sierakowskiego, Owsianowskiego i Krzemińskiego pozostawiono do rozprawy na wolnej stopie. Po opuszczeniu więzienia władze kolejowe natychmiast przyjęły **wszystkich czterech spowrotem do czynnej służby.**

A więc nie tylko nie usunięto niebezpiecznych zbrodniarzy ze służby państwowej, ale nawet nie zawieszono ich w urzędowaniu.

Dopiero kiedy na długie lata zamknęły się za niemi bramy więzienne, kolejnictwo musiało się pożegnać ze swymi „cenionymi" pracownikami.

Sprawa ta nie może pozostać bez odpowiedzi. Nasuwają się na tym tle najrozmaitsze domniemania i domysły. Kto jest odpowiedzialny za tego rodzaju skandaliczny fakt? **W aferę tę winny wdać się władze, i to natychmiast.**

U źródeł nędzy polskiej

Za pięć minut północ

Polskie »życie« za 10 gr. dziennie

Jeden z najwytrawniejszych znawców stosunków wiejskich i najwybitniejszych działaczy ludowych, wyraził się niedawno, że „...zainteresowanie miast sprawami wsi, zaczyna nabierać cech pewnej histerji".

Abstrahując od słuszności czy niesłuszności tego twierdzenia, podkreślić należy, że może nigdy, tak jak teraz, nie uświadomiono sobie w miastach starej prawdy, wyrażonej w niemieckiem przysłowiu: „Gdy chłop ma pieniądze — wszyscy są bogaci".

Nigdy dotąd nie stanął przed nami z tak brutalną jasnością problem wiejski — fakt, **iż 70 procent ludności polskiej znaiduje się w odmętach najskrajniejszej nędzy i że te 70 procent właśnie to miąższ i kościec gospodarki narodowej i — Narodu.**

LITERATURA I — ŻYCIE

Znacznie wcześniej, zanim się wgłębiono w smutne statystyki, zanim do świadomości przeciętnego mieszczucha zaczęły docierać fakty i cyfry — wieś dała o sobie znać potężnym krzykiem bólu i krzywdy, krzykiem, wołającym już nie o pomoc, bo w nią oddawna zwątpiono — lecz o stwierdzenie, że **głód stanął na przyźbie zagród włościańskiej Polski.**

Krzyk ten pochwyciła najnowsza literatura — posypały się reportaże, feljetony, szkice... Miasta uśmiechały się pobłażliwie — wiadomo: licencia poetica, lecz wkrótce uśmiech zamarł na pobladłych wargach.

Bo oto ze wsi napływać jęły dane, stanowiące tak dokładny, tak potworny obraz zniszczenia i ruiny, że nie pozostawało już nic więcej, jak tylko... nie mówić, udać, że się nie wie, albo że tu, obok, ma się o wiele więcej do roboty, do rozważania i decyzji...

EGZOTYKA NĘDZY

A prasa biła na alarm...

„Wieś nie ma pracy" — wywiad społeczny p. Michałowskiego, niezwykle silny w swej realistycznej prostocie przekonywujący solidnością długiej i sumiennej, źródłowej pracy — krzyknął głośniej niż wszelkie hurradefetystyczne i oberproletarjackie poezje pisane w rewolucyjnym rytmie czerwonej propagandy.

„Pamiętniki chłopów" — głos bezpośredni, „z pierwszej ręki", zostały przyjęte przez zdumione miasta, jak... romans egzotyczny, jak historje podróżnicze z wysp polinezyjskich. A przecież Pamiętniki, te zostały uprzednio sumiennie okrojone, oszlifowane i przepuszczone kilkakrotnie przez opiekuńcze sito cenzury.

„Odegzotycznienie" nastąpiło bardzo szybko. —

Na łamach dzienników zaczynają się pojawiać suche, trzeźwe artykuły, oparte na statystyce, na liczbach, na ściśle sprawdzonych faktach. A poprzez szeregi ostrożnych słów, z gąszcza liter, umiejętnie zestawionych i z daleko idącą obawą przesady powiązanych faktów — wyczytać można było jedno groźne słowo. Słowo to zaś brzmi: **GŁÓD!**

PONURY APEL CYFR

W książce swej „Położenie gospodarstw włościańskich" p. Czyżyk pisze, że:

> „...Ogółem przychody z jednego hektara użytku **w r. 1928 — 29** liczone były sumą **blisko 500 zł.**, podczas gdy **w r. 1933 — 34 sumą zaledwie 144 zł. Spadek więc zgórą trzykrotny!"**

W bardzo źródłowym i obszernym artykule z 15-go czerwca r. ub. pisało „ABC— Nowiny Codzienne":

> „...Rozchody na inwestycje, spłatę długów, paszę, nawozy i t. p. spadły z 374 zł. w r. 1928 i 1929 — na... 95 zł. w r. 1933 — 34.
>
> **Obniżka dochodów wynosi średnio w tym okresie 74 i pół procent".**

W dalszym ciągu artykuł podaje dane o poziomie życia włościan polskich. Z danych tych okazuje się, że:

> „...Wydatki osobiste spadły na przestrzeni od r. 1927 — 28 do r. 1933 — 34 o 64,5 proc. i w tym ostatnim roku wyrażały się cyfrą 48,7 czyli licząc rodzinę pięcio lub czteroosobową, wynosiły **rocznie na jedną osobę 10 — 12 zł. (t. j. około 1 zł. miesięcznie).**

Może ktoś powiedzieć, że wieś ma inne warunki ekonomiczne i psychologiczne, inne niż miasto, bez porównania mniejsze potrzeby... Niewiadomo jak się przedstawia stosunek tych potrzeb do ich zaspokojenia. —

Dla tak twierdzących, rzeczywistość przygotowała dowody o wiele... jaskrawsze. Oto one —

ŻYCIE ZA 10 GROSZY!

Statystyka wykazuje, że:

> **„...Na utrzymanie jednostki na wsi, licząc gotówką to, co ona spożyje z własnego gospodarstwa oraz opał i światło, wypada r. 1933 — 34 — 44 zł., gdy w r. 1928 — 29 wypadało 110 zł., a więc prawie trzy razy tyle.**
>
> **44 zł. rocznie, to niewiele więcej od 3 zł. 70 groszy miesięcznie na całkowite utrzymanie jednostki".**

A więc, całkowite wydatki chłopa polskiego wynoszą niespełna 4 (słownie cztery), złote miesięcznie! I są to cyfry bynajmniej nie minimalne; są to cyfry przeciętne.

Od roku statystycznego 1933 — 34 do r. 1934 — 35 nastąpiło stwierdzone, znaczne pogorszenie sytuacji. Z całą ostrożnością możemy dziś określić koszt całkowitego utrzymania jednostki na wsi cyfrą 3 zł. miesięcznie, czyli 10 groszy dziennie na osobe!

Czy trzeba dodawać do cyfr tych jakieś komentarze?

„KLĘSKA URODZAJU"

Dnia 15 lipca 1935 r. Giełda zbożowo-towarowa w Poznaniu zanotowała pierwsze tranzakcje nowem żytem. Ceny wahały się od 10 — 10,25 zł. za 100 klg. Jednocześnie biuletyny Główn. Urzędu Statystycznego wskazały na znaczną poprawę stanu zasiewów — (żyto ozime 3,5, jare 3,4, w roku poprzednim: 3,1 i 2,9 — według stopni kwalifikacyjnych) — w całym kraju zaś zapowiadały się wyjątkowo piekne zbiory — zwłaszcza żyta.

Kraj stanął wobec paradoksu: **błogosławieństwo urodzaju zagroz ło jedyną, niespotykaną klęską — klęską urodzaju.**

Pierwsze skutki wyraziły się w nieuniknionej zniżce cen.

FATALNE PRZESTAWIENIE

Z tej paradoksalnej sytuacji wynikł następny paradoks: **głodna wieś, głodne miasta i... nadwyżka produkcji.**

Nie bez wpływu na rozmiar klęski, była niefortunnie wybrana pora na przestawienie polityki rolnej na odcinek hodowlany, nie przed — ale po — zasiewach, co miało wręcz **katastrofalne następstwa dla wyczerpanej kryzysem i nieprzystosowanej do nowych wymogów — wsi.**

Rząd w chwili załamania się cen rolnych, wysunął program walki z kryzysem w rolnictwie spowodowanym brakiem spożycia... Do tego celu służyć miał eksport nadwyżki produkcji gospodarstwa rolnego zagranicę, ze specjalnem uwzględnieniem produkcji hodowlanej.

Ta nowa polityka rolna oznaczała zaniechanie kosztownej interwencji państwa na rynku rolnym, która nie mogła dać rezultatów wobec cen utrzymujących się na tak niskim poziomie, że uniemożliwiały rolnikowi powiązanie końca z końcem.

Eksperyment przestawiający całokształt naszej gospodarki rolnej na odcinek hodowlano - eksportowy — mógł i powinien się udać ale... w normalnych warunkach liberalizmu gospodarczego doby... przedwojennej.

Wobec jednak kryzysu w stosunkach międzynarodowych — nastąpiło to, co nastąpić musiało: inne kraje dążąc do samowystarczalności zamykają swe rynki lub ograniczają import do minimum.

Skutki tej nieprzepracowanej należycie koncepcji „przestawieniowej" były fatalne.— Zdolność eksportowa kraju wzrosła, ale wywóz się zmniejszył, gdyż nie było dokąd wywozić, chyba, że chciałoby się... zamrażać należności w Państwie brunatnej swastyki.

W rezultacie nastąpiła szalona depresja cen produktów rolnych, które nie znajdowały nabywców — liczba nabywców w kraju spadła zaś wskutek wzrostu bezrobocia w szerokich masach i znacznej obniżki płac zarobkowych.

Rolnik musiał pokryć z własnej kieszeni straty wynikłe z całokształtu tych posunięć. —Pod groźbą utraty warsztatu pracy zmuszony jest sprzedawać produkcję po humorystycznie wprost niskich cenach, na opłacenie podatków państwowych i samorządowych. **Jednakże nie jest w stanie pokryć ich w całości mimo wszelkich dekretów oddłużeniowych i wszystkich przyznanych mu ulg.**

Jak się ten stan rzeczy odbija na stopie życiowej rolnika — wskazaliśmy powyżej.

PONUREGO APELU CYFR — CIĄG DALSZY

Według ostatnich danych, **rolnik otrzymuje za swe produkty zaledwie 33,7 procent tego co otrzymywał w r. 1928, tymczasem za niezbędne dla gospodarstwa artykuły przemysłowe płaci 67,3 procent tego co w roku 1928, co znaczy, że musi oddać dwa razy więcej produktów niż 7 lat temu, by otrzymać kon'eczne artykuły z miasta. Ostatnia zniżka artykułów skartelizowanych,** — do wsi, jak wielokrotnie podkreślano już w prasie — **wogóle nie doszła.**

Nożyce cen najlepiej unaocznia „Mały Rocznik Statystyczny" za r. 1935. —

I tak: chcąc nabyć 10 mtr. madepolanu — chłop musiał sprzedać w r. 1932/33 — 17,9 klg. wieprza żywej wagi w r. 1935 już 27 klg.!

Za 10 szpulek nici w r. 1932/33 płacił chłop równowartość 41 klg. żyta — w roku 1935 — 47 klg.!

Nafta, zapałki, cukier i t. p. produkty skartelizowane — są na wsi oddawna niedostępnym luksusem. **Sól owa „bakalja chłopa" pojawiła się na jego stole wyłącznie w postaci t. zw. soli bydlęcej, czyli soli dawanej w czasach „dobrobytu" do lizania bydłu podczas udoju.**

Poniżej podajemy tabelkę porównawczą cen produktów rolnych w r. 1928 i w roku 1935 (w czerwcu):

	r. 1928	r. 1935
Za kwintal żyta	42 zł.	13 zł.
Za kwintal kartofli	9,5 „	3 „
Za krowę dojną	456 „	146 „
Za wieprza żywej wagi 100 klg.	92 „	53 „
Za litr mleka	0,31„	0,14„
Za jedno jajko	0,16„	0,04„

I tak dalej i tak dalej — przykłady możnaby mnożyć w nieskończoność! Dodajmy, dla ścisłości, że **od czerwca r. ub. ceny na wsi spadły w dalszym ciągu.**

LICHWIARSKI HARACZ POŚREDNICTWA

Mało kto w Polsce wie, że koszt produkcji 1 nożyka do golenia, t. zw. popularnie „żyletki", której zbyt idzie w miljony wynosi **zaledwie 2 (słownie: dwa) grosze. W detalu za tę gilett'kę płaci się 25, 30 i 35 groszy!— Różnica (1500 procent!)** tonie w kieszeni producenta i łańcucha pośredników.

Gorzej jest z rolnictwem. Wobec braku organizacji zbytu i niskiego wyrobienia handlowego mas chłopskich — **rynek rolniczy stał się domeną krwawego, urągającego wszelkim wyobrażeniom, wyzysku.**

Najklasyczniejszym przykładem w tej dziedzinie są ceny zboża, mąki i pieczywa.

Okazuje się przy bliższej kalkulacji, (którą podajemy poniżej), że **młynarz zarabia 50%, a piekarz — 140%! Dosłownie: pięćdziesiąt i sto czterdzieści procent!**

— W jaki sposób? Jak to jest możliwe?— zapyta ktoś. Okazuje się, że — jest możliwe. Bułka wagi 50 gramów w hurcie kosztuje 4 gr. w detalu — 5. Idąc dalej — 1 klg. pieczywa pszennego w hurcie kosztuje 80 gr., w detalu 1 złoty.

Nie chcąc nużyć Czytelników szczegółami kalkulacji podajemy tylko główne elementy obliczeniowe.

Mianowicie, z 100 klg. pszenicy otrzymuje się: 45 klg. mąki I-go gatunku, 35 klg. mąki pośledniejszej, oraz około 17 klg. otrąb. Reszta idzie na t. zw. „rozkusz". Jeśli teraz pod poszczególne pozycje podstawimy ich wartość obliczoną według cen giełdowych — okaże się, że **na zarobek młynarza przypada od 49 — 51 procent.**

Jeszcze jaskrawiej przedstawia się sprawa zarobków piekarskich. —

Skoro uwzględnić, że kilogram pieczywa pszennego, (bułek), kosztuje w hurcie 80 gr., zaś kilogram mąki pszennej 33 grosze — to w tym stanie rzeczy **zysk piekarza równa się 47 gr., co stanowi 140%!** Nadto w powyższych obliczeniach **nie uwzględniliśmy zupełnie t. zw. przypieku, co jeszcze bardziej podnosi horendalne zarobki piekarskie.**

Jest to rozpiętość cen niebywała, jakiej nie spotyka się nigdzie w Europie!

We Francji cena kilograma pszennego chleba równa się cenie kilograma mąki — u nas przekracza ją o 150%!

Idźmy dalej: detalista sprzedając bułkę za 5 gr. **zarabia okrągło 20 procent** — co jest olbrzymiem nowem obciążeniem cen pieczywa **Rolnik otrzymuje franco Warszawa 17 groszy za 1 kilogram pszenicy — konsument płaci za 1 kilogram bułek — 1 złoty!—** Olbrzymia reszta tonie w kieszeniach łańcucha pośredników z piekarzem i młynarzem na czele!

5 ZŁOTYCH Z HEKTARA!

Obliczenia Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach określają **czysty dochód roczny z dwuhektarowego gospodarstwa rolnego na 10 (słownie dziesięć) złotych!**

Zjazd rolniczy i gospodarczy zwołany przez Centr. Tow. Organizacyj i Kółek Rolniczych w lipcu ubiegłego roku w Warszawie, zgłosiwszy szereg zastrzeżeń pod adresem nowego kursu polityki rolnej, (o czem wspominaliśmy wyżej) — uchwalił m. in. następującą rezolucję:

> **„...Zjazd uważa za swój obowiązek stwierdzić wobec rządu i całego społeczeństwa, że nędza na wsi szerzy się w zastraszający sposób, a wślad za nią głód, gruźlica i skarlenie fizyczne i psychiczne, co stanowi poważną groźbę dla przyszłości narodu i potęgi państwa.**
>
> **Stan ten musi być usunięty przez zdecydowane i szybkie posunięcie polityki państwa w oparciu o zorganizowane społeczeństwo rolnicze".**

ARMJA BIJE NA ALARM!

W tych warunkach nabierają ponurej wyrazistości suche cyfry zestawione przez Gł. Urząd Statystyczny, stwierdzające **wzrost chorobowości na wsiach, a zwłaszcza gruźlicy. Jest to proste następstwo — głodu.**

Słowa szefa sanitarnego armji gen. Rouperta, przytoczone w prasie codziennej, stwierdzają, że **50 procent rekruta wiejskiego nie nadaje się do wcielenia w szeregi z racji słabego rozwoju fizycznego, będącego następstwem stałego niedożywiania!**

Bez komentarzy!

4,000.000 BEZROBOTNYCH

Jędrzej Moraczewski na łamach „Frontu Robotniczego" autorytatywnie stwierdził i uzasadnił, iż **wbrew danym ogłaszanym przez Gł. Urząd Statystyczny — liczba bezrobotnych w Polsce sięga 4,000,000 osób, przyczem olbrzymia większość przypada na wieś.**

Jest to zrozumiałe wobec zamknięcia granic i pozostawania w kraju kontyngentów, które normalnie rok rocznie emigrowały z kraju czasowo lub na stałe.

Dodajmy do tego obliczenia Józefa Poniatowskiego, z których wynika, że na 1 hektar ziemi rolniczej przypada pracujących na roli:

W Hiszpanji — 14 osób,
W Rosji Sow. — 16 osób.
W Anglji — 17 osób,
We Francji — 25 osób,
W Niemczech — 34 osób,
We Włoszech — 34 osób,
W Czechosłowacji — 35 osób.
W Polsce — 46 osób,

Przyczem z 1 hektara zbiera się kwintali zboża:

We Francji — 14
W Czechosłowacji — 18
W Niemczech — 19
W Anglji — 20
W Polsce — 11.

Gorzej gospodaruje od nas tylko Rosja Sow. (9 kwintali) i Hiszpanja (10 kw.).

Zastanówmy się, jak **podatnym elementem na wszelkie hasła wywrotowe, musi być ta olbrzymia masa głodującej bezrobotnej młodzieży — a pojmiemy w całej głębi straszliwą otchłań w jaką stoczyła się wieś polska i w jaką dzięki swej katastrofie wciąga miasta i cały kraj.**

„RÓWNANIE DO CHŁOPA"

Jeśli porównamy teraz z przytoczonemi cyframi przeciętne skale płac w Polsce — ujrzymy dopiero we właściwym świetle istotną **„wartość" osławionego „równania do chłopa" — głównego punktu, ba, kamienia węgielnego gospodarczego programu t. zw. grupy pułkowników i jej gospodarczego leadera pułk. Matuszewskiego.**

W tym celu należy sobie uświadomić, że **82,4 procent robotników w Polsce zarabia poniżej 30 zł. tygodniowo, że 76 procent pracowników umysłowych otrzymuje gaże poniżej 260 zł. miesięcznie i — że zarobki dyrektorów karteli i prezesów koncernów wielokrotnie przekraczają pensje ministerjalne (5.000 zł. miesięcznie).**

Pod tym kątem dopiero można należycie ocenić podział dochodu społecznego, lub, jak woli ekonomista z „Gazety Polskiej"—„Krajanie bochenka".

ZA 5 MINUT 12-TA!

Wieś ginie! Żadne czasowe interwencje nie naprawią sytuacji. W najlepszym wypadku — odwloką na krótko moment nieuchronnej katastrofy — ostatecznego załamania się wsi.

Ruina wsi w konsekwencji pociągnąć za sobą musi ruinę miast... Kataklizm, który ogarnął wieś grozi całemu krajowi.

Argus.

Król przemytu — „słodki Leoś“

Kulisy handlu »słodkim iperytem«

Ameryka ma swego Al Capone'a, Korsyka Miała Spadę, Francja Cartouche'a, Italia Rinaldo - Rinaldiniego, my zaś, nie posiadając w tradycji rodzimych hersztów bandyckich, bo do Janosika przyznają się pobratymcy Czesi, rozporządzamy narazie p. Lejzorem W. Żmigrodem.

Ów młody starozakonny, zwany na terenie Górnego Śląska, gdzie prowadził swe interesy, „Słodkim Leosiem“ wsławił się opinją największego importera, a jak kto woli... przemytnika sacharyny.

SŁODKI IPERYT

Ale zanim napiszemy o nim, musimy coś niecoś podać o jego słodkim — artykule — sacharynie, chemikalji tak groźnej dla Ministerstwa Skarbu, jak conajmniej iperyt dla Min. Spraw Wojskowych.

Sacharyna jest to uboczny i nic prawie nie kosztujący produkt powstający przy fabrykacji innych chemikalji. W naszym, krajowym przemyśle chemicznym wyprodukowanie sacharyny byłoby niezwykle kosztownem, gdyż nic takiego, co by ułatwiło jej powstawanie nie fabrykujemy. Inaczej sprawa przedstawia się z Niemcami — tam półfabrykatów mogących być wykorzystanemi dla potocznego wyrobu sacharyny powstaje b. wiele.

Łatwość wyprodukowania sacharyny wpłynęła przed 7-ma laty na zorganizowanie produkcji, a co zatem idzie — zbytu tego środka słodzącego, godzącego w interesy naszego cukrownictwa.

SYNDYKAT... SACHARYNOWY

W połowie roku 1929 powstał w Niemczech, z siedzibą w Hamburgu Internationale Süsstoff-Syndicat (Międzynarodowy Syndykat Sacharynowy), w skład którego weszło 16 fabryk tej chemikalji w Anglji, Austrji, Czechach, Francji, Holandji, Szwecji, Szwajcarji i oczywiście Niemczech. Produkcja tych fabryk, dochodząca do 500,000 kg. rocznie przekazywana jest do dyspozycji syndykatu, który trudni się jej rozprowadzaniem na rynkach zbytu.

Jest rzeczą zrozumiałą przytem, że do dokonywania tego „rozprowadzania służą wszelkie pomoce ze strony władz mających za zadanie ułatwianie eksportu.

KIERUNEK NA POLSKĘ!

Lwia część tej produkcji, przeważnie wyrobu niemieckiego (Saccharin Fabrik Aktien Ges. v. Fahlenberg in Magdeburg oraz Chemische Fabrik A. G. v. Heyden w Radebeul pod Drezmem), kierowana jest do Polski.

Organizacja masowego przemytu sacharyny do Polski, poparta przez kapitały, zakrojona jest conajmniej na wzór amerykański, jak za dobrych czasów prohibicji. Na jej czele stoi dwóch generalnych przedstawicieli o podzielonych terenach zbytu. Mianowicie: pan Z. Weissmann zaopatruje w sacharynę zachodnią i południową połać Polski, więc: G. Śląsk, idealny teren do przemytu. Drugi „szef eksportu“ G. Günsburg ekspedjuje towar na kresy wschodnie, wileńszczyznę, województwo Warszawskie, via Prusy Wschodnie i Litwę.

P. P. GÜNSBURG I WEISSMAN

Pomimo iż p. p. Günsburg i Weissman bynajmniej nie są Aryjczykami, czują się oni w Niemczech znakomicie, a to dzięki zasługom na polu ekonomiczno - eksportowym. Gdyby naszym władzom bezpieczeństwa udało się ich pojmać, to mimo przyjaźni i koligacji rządu z mniejszościami narodowemi, odpoczęliby oni w kryminale na czas od 3—4 lat. Dlatego wolą oni przebywać wśród wrogo odnoszących się do ich współplemieńców Germanów, posiłkując się jedynie sztabem wykonawców.

POGRANICZNE SKŁADNICE

Günsburg i Weissman rozlokowali na pograniczu polskiem szereg składnic—magazynów obliczonych na zaopatrywanie w sacharynę pojedyńczych przemytników, przekradających się do Polski, a przynoszących „słodkie“ w „mecjach“ specjalnych kamizelek.

O ogromie przemycanej do Polski sacharyny świadczy umowa Weissmana z Syndykatem Sacharynowym, zawarta przed 5 i pół laty, której odpis zdobyli funkcjonarjusze Straży Granicznej, dowodzonej przez pułk. Jura - Gorzechowskiego. W umowie tej Weissman zobowiązał się — dostarczać do Polski miesięczn. 3,000 kg. sacharyny, a Günsburg 2,000 kg.

60,000 KG. ROCZNIE!

Jak stwierdzono Międzynar. Synd. Sachar., przy pośrednictwie tych — dwóch „panów“ — dostarczał via „zielona granica“ do Polski rok rocznie 60,000 kg. sacharyny!

Oczywiście, że dla tego procederu Günsburg i Weissman musieli powołać do akcji cały łańcuch pośredników, przemytników oraz detalistów - rozsprzedawców już na terenie polskim.

Dla finansowania businessu powstały na G. Śląsku spółki, rozporządzające własnemi kontami czekowemi, personelem, środkami przewozowemi, a nawet prywatnymi detektywami, zbierającymi informacje o zamierzeniach celników i straży granicznej, oraz przeciwdziałającymi ich posunięciom.

LEJZOR WOLF ŻMIGROD

I tutaj talenty handlowe jak i organizacyjne dopomogły bohaterowi niniejszego opowiadania Lejzorowi Wolfowi Żmigrodowi — do wybicia się na czoło innych pomniejszych band przemytniczych. „Słodki Leoś“ nazwany następnie „Królem Sacharyny“ rozporządzał taborem automobilowym składającym się z pięciu wytwornych limuzyn specjalnie przerobionych do przemytnictwa.

Auta Żmigroda posiadały puste przestrzenie, skrytki w dachach, chłodnicach, karoserjach, oponach, a nawet zbiornikach benzynowych, gdzie sacharyna, mieściła się w doskonale uszczelnionych, zanurzonych w benzynie, blaszankach. Jeden taki samochód musieli rewidenci graniczni, mechanicy zarazem, rozmontowywać aż cztery dni, by w mechanizmie napędowym odszukać około 20 kg. sacharyny.

TRICKI PRZEMYTNICZE

Przemytnicze auta Żmigroda, kursowały przez granicę między Bytomiem, a Polską, szmuglując jednorazowo, jak ustalono, dzięki wywiadom, od 120 do 180 kilo, tej słodkiej, ale nie odżywczej dla organizmu ludzkiego, substancji.

By „nie kłuć w oczy“ organów kontrolnych wciąż temi samemi znakami rejestracyjnemi na samochodach, tablice te były łatwo wymienne, a kolekcję numerów lokowano w umówionych miejscach niedaleko od granicznych szlabanów.

Samochody te były rejestrowane w Niemczech, a dla pewności przekupiono kilku funkcjonarjuszy celnych, którzy udawali, że nie spostrzegają częstych przejazdów bandy Żmigroda.

Ale i cyfry zmienialne, jak i dziwną tą niespostrzegalność celników przejrzeli strażnicy graniczni.

Dla przemytu wykorzystano opostoszałą kopalnię Nowa Helena, położoną tuż obok granicy niemieckiej na G. Śląsku. Sztolnie wiodły w kierunku Niemiec, co wykorzystali gangsterzy „słodyczy“ przedłużając je i kopiąc po tamtej stronie granicy schody wiodące z powierzchni do podziemi. Tą drogą szedł szmugiel bez przesady... pod ziemią!

SZTAB P. ŻMIGRODA

Pomocnikiem Żmigroda był Maks Machel Saper, a cały sztab jego, który wreszcie „przyuważyła“ Straż Graniczna, liczył 18 członków (w tem buchalterzy, inkasenci i wywiadowcy).

Organizacja nie ostała się przed taranem przeciwakcji i jak opiewały ujawnione „akta“ rozgromionej szajki, Żmigrod zobowiązał się przemycać do Polski minimum 10.000 kg. sacharyny kwartalnie. Tytułem gwarancji na przyszłe dostawy złożył on wysokie zabezpieczenie w gotówce. Dowodzi to ostrożności niemieckiego przedstawiciela eksportu sacharynowego p. Weissmana.

Do przemytu, w mniejszych ilościach używał Żmigrod obładowanych sacharyną psów, niepostrzeżenie, po specjalnej tresurze, przemykających się przez granicę.

KRES SŁODKIEJ KARJERY

Wreszcie rozbito bandę „Słodkiego Leosia“, który poszedł za kraty na dwuletni pobyt.

Auta jego uległy konfiskacie.

Międzynarodowy Syndykat Sach. doznał bolesnego ciosu i jak nam wiadomo dotychczas nie odbudował zniszczonych kadr, nie mogąc znaleźć kogoś godniejszego i przemyślniejszego od unieszkodliwionego, a następnie nazbyt zdekonspirowanego „króla sacharynowego“ — Żmigroda.

BRACIA CZESI RÓWNIEŻ...

Lukę w tej gałęzi przemytu wykorzystał export czeski, puszczając na rynek nasz sacharynę w opakowaniu z napisem „Polski Monopol Środków Słodzących“.

„Monopolowa“ rzekomo sacharyna wprowadzała w błąd, do czasu, chłopów, ale i ten fortel został wykryty i zlikwidowany.

Dr. J. P. Zajączkowski.

TO JESZCZE NIE WIECZÓR...

Ciekawy proces art.-grafika z przemysłowcem

W jednym z poprzednich numerów poruszyliśmy sprawę niezwykłego zatargu między młodym artystą - grafikiem p. Tadeuszem Rosenem a znaną, wielką spółką akcyjną produkującą płyty gramofonowe „Syrena-Rekord“.

Jak wynikało z artykułu naszego, f-ma „Syrena“, nieprawnie, bez porozumienia się z p. Rosenem wykorzystała plakat jego zrobiony w zakładach B-ci Koziańskich na zamówienie producenta filmowego inż. Gulanickiego, jako plakat reklamujący film „Panienka z Poste - Restante“, **do reklamowania... płyt gramofonowych** „Syrena - Rekord“.

Zdumiony tak mocno azjatyckiem postępowaniem wielkiej firmy, p. Rosen zarówno kierownika litografji w f-mie B-ci Koziańscy p. Pawlaka, jak i głównego właściciela f-my „Syrena Rekord“ **p. Hilarego Templa,** zaskarżył do sądu.

Sprawa, która przed paru dniami znalazła się na wokandzie sądu okręgowego, przyczem kompletowi sędziowskiemu przewodniczył sędzia Przybyłowski, obfitywała w szereg momentów o niezwykłej pikanterji.

Zaczęło się od tego, że dyr. Hilary Tempel na sprawę nie stawił się, a obrońca jego, świetny ongiś prokurator p. Wasserberger, starał się uzyskać od sądu zgodę na to aby klijent jego **nie potrzebował zasiadać na...ławie oskarżonych. Dla** poparcia tego dziwacznego wniosku p. mecenas powoływał się na wielkie zasługi jakie p dyr. Tempel rzekomo położył dla społeczeństwa, a zdając sobie samemu sprawę z irrealności podobnej argumentacji, p. mecenas sięgnął do sakiewki z bardziej przekonywującemi, w jego pojęciu, argumentami i zakomunikował sądowi, że jeśli nawet p. Tempel przyjdzie do sądu, zasiądzie na ławie oskarżonych, **to i tak nic nie powie...**

Nie trzeba dodawać, że wniosek p. mec. Wasserbergera został odrzucony. Sąd odrzucił również drugi wniosek obrońcy p. Templa, który twierdził, że sprawę należy umorzyć, przecież p. Rosen **już raz sprzedał** wykonany prze siebie plakat inż. Gulanickiemu i niemoże po raz drugi żądać pieniędzy... Oczywiście i ten wniosek został odrzucony, sąd rozprawę odroczył, nakazując na wniosek adw. M. Goldfarba **bezwzględnie stawiennictwo p. Hilarego Templa.**

Coprawda, p. Templowi tak dalece nie uśmiecha się perspektywa wizyty w sądzie, że nawet zapowiedział wyjazd swój na wywczasy **do Palestyny, Syrji i Egiptu,** należy jednak przypuszczać, że termin rozprawy wyprzedzi wypoczynkowe plany p. Templa.

(z)

Krzyczcie Chiny!

Ponura statystyka

Profesor uniwersytetu w Nankinie Chiao-Chi - Ming ogłosił w prasie chińskiej, że na podstawie, pobieżnych coprawda obliczeń, przezeń dokonanych, zmarło w Chinach w okresie ubiegłych 60-ciu lat... 400 miljonów osób, a to naskutek wypadków wojennych, głodu, wylewów, chorób epidemicznych, jak tyfus, cholera i t. p.

Cyfra podana przez prof. Minga odpowiada mniej więcej obecnemu stanowi zaludnienia Chin.

Zgodność obydwu tych cyfr uzasadnia prof. Ming okolicznością, że przyrost naturalny w Chinach dosięgnął w tymsamym okresie 60-ciu letnim również cyfry około 400 miljonów.

(an).

BAGIENKO FILMOWE

Znacie? Znamy! To posłuchajcie

Czy znajdzie się rada

Mógłby ktoś zarzucić redakcji naszego pisma, że zbyt wiele miejsca poświęcamy filmowi, w stosunku do innych niemniej ważnych, a może częstokroć ważniejszych, dziedzin naszego życia artystycznego, gospodarczego czy też społecznego. Lecz doprawdy trudno znaleźć branżę przemysłowo - artystyczną, w której **stosunki są tak zabagnione, a ludzie tak nieodpowiedni.**

Nasze, z konieczności, pesymistyczne artykuły o światku polskiego filmu, bynajmniej nie mają zamiaru krzywdzić czy też napastować, jak się niektórym panom filmiarzom wydaje, młodą produkcję filmową polską.

Zależy nam bardzo na jej rozwoju, na usanowaniu stosunków, na utrąceniu, powiedzmy to wyraźnie, elementu w naszej filmji kompromitującego, ba, wrogiego. Jeśli nie cofamy się niejednokrotnie przed podaniem nazwisk, to czynimy to z wiarą iż może tym sposobem wyplenimy chwasty raz na zawsze, chwasty, które same zasiane, rozrosły się tak bujnie, iż trudno wśród nich dostrzedz normalnie kiełkujące, zdrowe ziarno.

Prasa fachowa nie może pisać nic złego o branży. Cofnięcie ogłoszeń równa się plajcie pisma.

Nam na ogłoszeniach nie zależy. Nie zlękniemy się również zgrzytu zębów, ani soczystych pogróżek panów producentów, dyrektorów kin; biur wynajmu i t. p. macherów mafji filmowej. Przeciwnie nawet, owe zgrzyty będą tylko widomym i dźwiękowym sprawdzianem znanego przysłowia o stole i nożycach.

Przyklaśniemy każdej inicjatywie, która wniesie świeży powiew w tę zatęchłą komórkę branży filmowej, każdej akcji, która będzie miała za zadanie podniesienie poziomu artystycznego produkcji filmowej, każdej organizacji, która w mądry, celowy i skuteczny sposób zechce przeprowadzić odpowiednie reformy i uzdrowić stosunki.

Chcielibyśmy widzieć **przemysł filmowy, który byłby godny naszego państwa i narodu,** a nie rozwrzeszczane i spocone ghetto filmowe, uzurpujące sobie nieproporcjonalne do swych „siucht“ i „machlojek“ — prawa.

Rząd nietylko nie może ale nie ma prawa dawać pieniędzy pp.: Łowiczom, Ordyńskim, Turbowiczom et consortes, na **podejrzanego gatunku artystyczną propagandę.** Wielki kapitał nie da pieniędzy również.

Zmiana od podstaw, realnie przemyślana reorganizacja resortów filmowych w ministerstwach, scentralizowanie spraw filmowych, stała i baczna opieka i kontrola, zorganizowanie związków filmowych, a przedewszystkiem zmiana ich czysto kupieckiego i kalkulacyjnego charakteru, **utrącenie** równie szkodliwych, a nierealnych pomysłów rozmaitych panów „od filmu“ — oto co może przynieść pożądane wyniki dla przemysłu filmowego w Polsce, a co za tem idzie zainteresowanie kapitału.

Dopóki p. Ordyński traktowany będzie jako „zdolny reżyser“ oraz alfa i omega filmu polskiego, dopóki „branżyści“, w postaci pana Fajf — czy też Łowicza, będą uważani za speców w dziedzinie krótkiego metrażu, dopóki **dziennikarstwo filmowe opierać się będzie na wywiadach z gwiazdami, kąciku fotogenicznych i bzdurnych recenzjach przez nikogo nieczytanych** — dopóty w branży naszej będzie nadal „laurowo i ciemno“, jeśli jeszcze raz mamy skalać pióro nazwiskiem pana Łowicza.

***

Biura wynajmu, a właściwie amerykańskie biura wynajmu stoją na straży tajemnic „siucht“ branżowych.

One to właśnie, zaopatrzone obficie w pieniądze, **dyktują artykuły do prasy, zarządzają Naczelną Radą Filmową,** tworzą wspólne akcje, mające obalić tę czy inną produkcję europejską zbyt już niewygodną.

Wszystkie biura amerykańskie pozatem, że starają się na każdym kroku **szkodzić produkcji krajowej czy też pół - krajowej** (produkcja mieszana i dubbing), **idą ręka w rękę z samozwańczymi** i likwidowanymi przez **władze t. zw. „komitetami antihitlerowskiemi“** (instytucjami zresztą bardzo rentownemi—mogą to w tej chwili potwierdzić właściciele kin—współwyznawcy panów z komitetów).

Film objęty bojkotem padał, pomimo zezwolenia władz, nadanie mu oceny „artystycznej“, sympatji publiczności. Wystraszony właściciel kina zdejmował go z ekranu po paru dniach powodzenia(!).

Taki los spotkał film z Kiepurą, a ulotki rozrzucone na mieście, zawierające nekrolog („zmarł w opinji żydowskiej“) tego, który ów film sprowadził, nie były dziełem żywiołowego odruchu, który możnaby ostatecznie zrozumieć, lecz: **I-o machinacją konkurencji vide biura amerykańskie, 2-o, niezadowoleniem z braku haraczu vide „komitety antihitlerowskie“.**

Nie jesteśmy bynajmniej antysemitami, chcielibyśmy jednak przypomnieć czasy, w których kina nasze zalane były przez filmy sowieckie Produkcja ta, pomimo swej odrębności, stoi na wysokim poziomie artystycznym, ale ileż było cmokania i zachwytów nad gorszymi nawet obrazami sprowadzonymi z za czerwonego kordonu. Jakże oburzeni byli panowie zasiadający dziś w „komitetach antihitlerowskich“ na skromne uwagi o szkodliwych tendencjach tych filmów, jakie wygłaszali szumne frazesy o międzynarodowości sztuki. A teraz?! Pomimo braku wszelkich tendencji, jeśli chodzi o obrazy sprowadzane z Niemiec, zapomnieli już o sztuce międzynarodowej i całej porcji szumnych frazesów.

Kraj leżący między Bałtykiem i Karpatami nazywa się Polską, a nie inaczej. Pewna grupa obywateli nie może tworzyć państwa w państwie, chociażby na tak małym i zabagnionym odcinku, jak przemysł filmowy.

Stwierdzić jeszcze należy, że „ideologja“ komitetów opłaca się sowicie **i co wczoraj było trefne jutro przy pomocy tylu a tylu złotych polskich może stać się koszerne.**

***

Oto jeszcze jedna karta dziejów przemysłu filmowego w Polsce, a wierzcie nam, że nie ostatnia.

Qui - qui.

Anonimowy czarny przemysł

»Łapiskórki« i ich gangsterskie metody

Ktoś, po raz pierwszy wyrwawszy się do Warszawy z szarzyzny Rypina czy przysłowiowej Pipidówki nazwał szczodrobliwie naszą smętną stolicę... małym Paryżem. Wynikałoby stego, że nietrudno jest zaimponować prowincjałowi.

Wystarczy pokazać Mickiewicza, powiedzmy w połowie od dołu oświetlonego reflektorem, lub perspektywę Marszałkowskiej nakropionej plamami niebiesko - czerwonych neonów.

PARODJA BROADWAY'U

Nie przeszkadza w osiągnięciu efektu, że te neonowe reklamy często są przepalone. Niech biedny przybysz, jeżeli niema lepszego zajęcia, głowi się co oznacza jaskrawy napis: „C..ulik“. I tak nie odgadnie, że to reklama kabaretu „Cyrulik“ a nie firmy „C“ sprzedającej śledzie — uliki. (Cyruliku, wybacz żart!)

Ponieważ dla takiego „proszę pani dobrodziejki“ marzeniem wyczarowanem w snach i symbolem wszelkich arcy... super... naj... z dodatkowemi „ochami“ i „achami“ jest daleki Paryż, więc nic dziwnego, że przez użycie tej nazwy chce zamanifestować swój zachwyt nad powabami Syreniego Grodu.

MOŻNA I TAK

Nie protestujemy przeciw tej nazwie, jak nie protestowalibyśmy, gdyby ruiny koszar Blocha ktoś ochrzcił mianem małego B. G. K.

Sądzimy jednak, że bardziej odpowiadałoby prawdzie porównanie Warszawy do Chicago.

RACZEJ... CHICAGO!

Atmosfera teroru i afer, a nieraz i odgłos salw rewolwerowych co noc rozpościerają swe panowanie nad Warszawą.

Afery i wręcz gangsterski terror zakradły się do wszystkich dziedzin życia stolicy, wystarczy wspomnieć, przez analogję do Chicago, chociażby tylko o... przemyśle mięsnym!

CZARNY „PRZEMYSŁ“

Nie mniej zabagnionym terenem, niestety zapomnianym przez władze bezpieczeństwa jest... anonimowy przemysł pogrzebowy. Zresztą nietyle przemysł, ile klika ciemnych typów po dyktatorsku rządzących przy pomocy band naganiaczy i łamignatów.

Małe firmy pogrzebowe gęsto rozsiane na przedmieściach muszą prawem pięści i „bronka“ opłacać stały haracz na rzecz terrorystów.

Jest to „podatek“ od słabych choć formalnie pełno uprawnionych przedsiębiorców.

PAN W CYKLISTÓWCE

A niech ktoś przeniesie się do wieczności. Natychmiast w domu znaczonym żałobą zjawia się pan w cyklistówce, proponując urządzenie pogrzebu na bardzo przystępnych warunkach. Oczywiście ceny ofiarowane przez takiego pana mają być znacznie niższe od cen w przedsiębiorstwach zarejestrowanych.

Na szczęście nikt zbyt często nie urządza pogrzebów nic więc dziwnego, że nie zna rynkowego cennika. W rezultacie, wreszcie skorzystawszy z oferty... przepłaca minimum kilkadziesiąt złotych.

TRUMIENKA „NA RATY“!

Gorzej przedstawia się sprawa jeżeli klijent zaproponuje oferentowi zapłacenie należności w paru ratach. Pan w cyklistówce pozornie zgadza się na te warunki.

Pobiera a conto, weksle, przysyła trumnę i...

Kiedy zajedzie karawan, nim ustawią na nim trumnę, anonimowa osoba, oświadcza nieutulonym w żalu, że pomimo umowy, ciało zostanie odtransportowane na cmentarz dopiero... po wpłaceniu resztującej należności.

Następuja targi. Kilkadziesiąt złotych i weksel procentowy wądrują do kieszeni pana w cyklistówce.

„ŁAPISKÓRKI“

Podobnie sprawy przedstawiają się w razie zgonu w szpitalu. Tu pana w cyklistówce zastępuje posługacz. A biada rodzinie jeśli nie przyjmie grzecznych choć stanowczych propozycyj szpitalnego „łapiskórki“, (skórka w gwarze pogrzebowej oznacza zwłoki).

Nie tak dawno, kiedy rodzina stanowczo oparła się propozycjom naganiacza i powierzyła urządzenie pogrzebu znanej firmie, jacyś nieznani sprawcy przysłaną przez firmę metalową trumnę ...podziurawili w paru miejscach.

MAKABRYCZNE BOJE

Oczywiście firma przysłała inną.

Kiedy transportujący robotnicy znaleźli się na mniej uczęszczanej ulicy, napadła na nich grupa terrorystów uzbrojona w kastety i pałki.

Rozgorzała walka. Trumna z rumorem upadła na jezdnię. Krzyki napadniętych zaalarmowały przypadkowo przechodzącego policjanta.

Napastnicy zbiegli.

GANGSTERZY POGRZEBOWI DZIAŁAJĄ!

Także dość często zdarzają się napady na właścicieli rejestrowanych przedsiębiorstw.

To też nic dziwnego, że niejednokrotnie przedsiębiorstwa zręcznie odmawiają urządzenia jakiegoś pogrzebu.

Przyczyny, niezrozumiałego dla zdziwionych interesantów faktu, należałoby szukać w... życzliwem choć anonimowem zawiadomieniu właściciela przedsiębiorstwa, że tym pogrzebem jest już „ktoś“ zainteresowany.

A ten „ktoś“ jest tak bezwzględnym i zdecydowanym, **że lepiej nie narażać się.**

Wist.

KRZYSZTOF MIŁOSZ

MILJONY

3.

Powieść

—To pan jeszcze nie rozumiesz, a? Pan o tem nie wiesz, że tam gdzie jest szef niewolno być niższym czynom, pan nigdy nie byłeś w wojsku, a?...

— Nie, — przyznał się pokornie Krążek, dygocąc na całym ciele.

— Widać, widać, dyscypliny u was niema panie Krążek, ot co. Szef się uśmiechnął bo może podejrzewać pana o różności...

To niemożliwe, — żachnął się buchalter.

— Jakże to niemożliwe, jak pan, buchalter, może mieszkać w tym samym kurorcie co pański chlebodawca, a? Skąd pan na to ma, a?

Krążek trząsł się febrycznie.

— Ja przecież oszczędzałem, cały rok odkładałem... —tłumaczył się rozbitym głosem.

— Odkładać pan mógł, ale szef nie uwierzy, zresztą dyscyplina musi być. W tym hotelu, w którym mieszka generał nie może mieszkać porucznik, ot co...

— Więc co mi pan radzi zrobić? — Pół płacząc pytał buchalter.

— Cóż ja mogę poradzić. Teraz już będzie trudno żeby pana nie widział, to co innego, ale tak... i uśmiechnął się jeszcze... płocho.

Pułkownik wachlował wąsami coraz szybciej.

Krążek wpatrywał się w niego jak w obraz.

— Nu, co, trzeba będzie wyjeżdżać, bo jeszcze spotka go pan znów i co?

— Tak... ale... ale... — bełkotał nieporadnie księgowy fabryki chałwy „Hellada", — ja mam przecież zapłacone... do końca... tygodnia kąpiele.

— To gorzej, to znaczy gorzej, — smucił się szczerze pułkownik, — nu, musi pan w takom słucze pozostać do końca tygodnia. Dzisiaj i tak środa, niedługo. Ale nigdzie pan nie wychodź. Do łazienek i z powrotem, chyłkiem, żeby broń Boże naczalstwo nie zobaczyło, — udzielał fachowych rad pułkownik.

Krążek po tej rozmowie czuł się jak z krzyża zdjęty.

Zamknął się w swym pokoju, położył na łóżku i... i przed oczyma zaczęły przesuwać się najstraszniejsze wizje.

Kratokopolus podejrzewa go o defraudowanie pieniędzy, napewno wymówi mu posadę, co robić, z czego żyć?

Okrył go zimny pot.

Zaczął wyrzucać sobie, że odważył się na podobnie lekkomyślny krok jak wyjazd na odpoczynek.

Tyle lat żył, pracował i dobrze się czuł, bez urlopów, a tu nagle... Tak, siedziałby przykładnie w „biurze" fabryki, przy atramentem schlapanem biurku, pieniądze za urlop oddałby Marysi. I wszystko byłoby jaknajlepiej.

Pod wpływem tych wszystkich, zdecydowanie czarnych myśli... zasnął.

Gdy się obudził, była czarna, smolista noc. Przez otwarte okno wciskał się do pokoju chłód i rosa deszczowa.

Na dworze lało jak z cebra.

Krążek czemprędzej zamknął okno i po długich poszukiwaniach zapałek, zapalił wreszcie świecę.

Była godzina 1-sza w nocy.

Pora wybitnie nie nadawała się do dyskusji z sąsiadami, czy też smutnych refleksyj, które natychmiast po przebudzeniu znów opętały buchaltera.

Odczuwał natomiast wybitną potrzebę ulżenia ciału. Więc starając się zrobić jaknajmniej hałasu, boć przecież cały pensjonat musiał o tej porze spać, cichutko otwarł drzwi i skradając się na palcach wyszedł na ciemny kurytarz.

Nagle, stopa jego dotknęła czegoś, co metalicznie stęknęło i usunęło się posłusznie ale z piekielnym rumorem.

Bardzo możliwe, że w innej sytuacji, ten fałszywy krok nie przeraziłby zbytnio Krążka, teraz jednak, pod wpływem smutnych rozmyślań, stracił nagle całe panowanie nad sobą i z potępieńczym wrzaskiem runął naprzód.

A na przedzie były... schody.

Schody mają to do siebie, że są spadziste, a ciało ludzkie odznacza się niezwykłą łatwością spadania po takiej właśnie, nierównej płaszczyźnie.

Tak było i teraz.

Przy obłąkańczem akompanjamencie i niesamowitych wrzaskach buchalter Feliks Krążek zwalił się na dół, upadkiem swym — podnosząc cały dom na nogi. Jak złośliwe mary nad zuchwalcem, zbiegli się nad leżącym i cicho postękującym mężem, lokatorzy całego pensjonatu. Grobowy nastrój bardziej jeszcze potęgował fakt, że wszyscy prawie byli w nocnych koszulach, a słabe płomyki świec nadawały twarzom ich jakiś trupioblady, złośliwy wyraz. Zjawiła się nawet zarządcyni z czupryną upstrzoną mnóstwem papierowych papilotów i dłonią wstydliwie zakrywającą... padołek. I stróż nocny, wielki, kanciasty, woniejący spirytusem. Kundel, który z nim przybiegł nieufnie obwąchiwał leżącego Krążka.

Dzięki natychmiast zorganizowanej akcji ratowniczej, zaniesiono buchaltera na górę. Pierwiastkowe śledztwo wykazało, że nie miał on najmniejszego zamiaru cichaczem wynosić się z pensjonatu, bez uiszczenia należności, ale poprostu wyszedł z pokoju z powodów... zasadniczych i trudnych do odłożenia, a zaraz na progu, pośliznął się na tacy z kolacją, którą trskliwa pokojówka nie mogąc dostać się do wnętrza, postawiła pod drzwiami.

— Dlaczegóż paneś pod nogi nie patrzył? — indagowała jeszcze niedowierzając gospodyni.

— Przecież ciemno było, dobrodziejko, tłumaczył się łagodnie buchalter, którego oblicze po upadku było mocno „zebrowate".

— Jak się wychodzi z pokoju, to trzeba brać ze sobą świecę, — zauważył sentencjonalnie muzyk z owiązaną twarzą.

— Oooo, co to, to nie, — sprzeciwiła się kategorycznie zarządzająca, — stanowczo niezgadzam się na chodzenie ze świecą, willa jest modrzewiowa i można wywołać pożar...

— Tak, tak, — przytwierdził hurtownik papieru, — z ogniem zawsze lepiej zdaleka.

Nazajutrz, Krążek wogóle nie wychodził z pokoju. Z bólem serca musiał pogodzić się ze stratą kąpieli, ale twarz jego była tak dokładnie posiniaczona, że w żaden żywy sposób niemożna jej było wystawiać na widok publiczny.

Jak na złość, dzień był niezwykle gorący i parny. W maleńkim pokoiku, tuż pod blaszanym dachem willi, Krążek przeżywał tantalowe męki, co chwila obficie zlewając się potem.

Po obiedzie zajrzał do niego prokurent towarzystwa importu pająków.

— Jak się pan czuje? — zapytał troskliwie.

— Ot, kiepsko, boli mię wszystko, — wystękał Krążek, wstydliwie dłonią zakrywając sine plamy na obliczu.

— No, nic dziwnego, spaść z takiej wysokości, ale... mówiąc tak między nami, jak to naprawdę było? — porozumiewawczo mrugnął prokurent pochylając się poufale nad Krążkiem.

— Nie rozumiem...

— Kolego kochany, nie udawajcie. Gospodyni mówi, że poprostu chcieliście zwiać nie płacąc, a ten muzyk z fluksją, to twierdzi, że szliście do... łóżka, do pokojóweczki...

(d. c. n.).

Wiedeń straussowskich walczyków

i Wiedeń podziemnej walki

Korespondencja własna »Wiem Wszystko«

Wiedeń w kwietniu.

Wiosna zazieleniła już skwery wiedeńskie i w alejach Prateru snują się wieczorami zakochane pary. W Schönbrunnie i na Hitzingu coraz więcej wiosennych modeli na zgrabnych figurkach eleganckich cór naddunajskiego grodu.

Powojenny Wiedeń nie różni się prawie od przedwojennego, zwłaszcza, odkąd słynny batalјon Deutschmeistrów, przybrany z powrotem w cesarsko - królewskie paradne mundury, znów zaciąga warty w kordegardach Burgu, defilując ulicami w takt słynnego, popularnego marsza:

„Wir sind von K. und K.
Infanterie Regiment
Hoch und Deutschmeister
Numero vier!"

Jest to jednak tylko optyczne złudzenie, mogące zwieść najwyżej cudzoziemca. Pod cienką powłoką bowiem beztroskiej niefrasobliwości, tak charakterystycznej dla grodu straussowskich walców i miłosnych perypetyj kochliwych arcyksiążąt, miasta operetek i romantycznych przygód „süsses Mädel" z węgierskim baronem — pulsuje wartkim rytmem nurt podziemnego życia, w którym skrzyp szubienic łączy się z twardymi słowami wyroków specjalnego trybunału.

W podziemiach Wiednia toczy się dalej bezpardonowa walka, zmieciona z powierzchni krwawym finałem lutowej rewolucji.

Gdy noc okryje miasto, wyruszają na żer brygady tajnych agentów, błyszczą reflektory aut policji politycznej — toczy się bez przerwy wielka gra na dwa fronty — przeciw czerwonemu i brunatnemu Wiedniowi.

Codzień, co chwila, sygnalizują z tego, czy owego bezirku, (obwodu), że oto znów odbyła się tam „lotna demonstracja".

„Lotna demonstracja" — to specjalny wiedeński wynalazek — z tłumu przechodniów, odłącza się nagle kilkunastu, czasem kilkudziesięciu ludzi, łączy się w grupę, w szyku wojskowym, wyrzuca do góry czerwony sztandar, wznosi kilka przeciwrządowych okrzyków, i — rozprasza się w błyskawicznem tempie.

Druga odmiana takiej demonstracji polega na sformowaniu grupy, odśpiewaniu kilku zwrotek rewolucyjnych pieśni i — równie szybkiem rozproszeniu się.

Obie zresztą propagandy — czerwona i brunatna — rozwinięte są do ostatecznych granic. —

Po za „lojalnymi" fotografjami i portretami osób z obozu rządzącego, w których rysy, włosy, czy ubranie, wrysowano miniaturowe portreciki przywódców robotniczych i narodowo - socjalistycznych — Wiedeń zalany jest nielegalną literaturą.

Nikt nie wie, czy na okładce kupionej żyletki, nie znajdzie odezwy komunistycznej, lub hitlerowskiej, czy w powieści o Neronie, zamiast opisu płonącego Rzymu, nie odczyta opisu... spalenia Reichstagu.

Korespondent Wasz znalazł kiedyś w kieszeni, wsuniętą mu, przez nieznanego kolportera, ulotkę, odbitą na powielaczu, na której widniał z jednej strony napis: „Im Polizeigefanganenhaus stehen 450 Genossen im Hungerstreik. (Rote Hilfe)*), a z drugiej: „Nieder mit dem Polizeiterror! (Rote Hilfe)". **).

W jakimś sklepie, czy u jakiegoś ulicznego sprzedawcy, wsunięto mi wydając resztę, monetę, z takim oto napisem: „Die Saar ist frei! 1. III. 1935. N. S. D. A. P. Hitlerber; Gau Wien" (Saara jest wolna! 1. III. 1935 r. Partja narodowa socjalistyczna. Organiz. hitlerowska Obwód wiedeński), a po drugiej stronie: „Durch Grossdeutschland zum Weltfrieden" („Przez Wielkie (zjednoczone) Niemcy — do pokoju świata!").

Ostatnio pojawiły się nowe monety z napisem — (na miejsce „przestarzałego" „Die Saar ist frei!") — „Der Rhein ist wieder Deutsch!" (Ren znów jest niemiecką rzeką!") — po zajęciu Nadrenji i „Hoch die siegreiche deutsche Armee!" (Niech żyje zwycięska armja niemiecka").

Do niezwykle częstych, codziennych zjawisk należały do niedawna następujące „sztuczki": gdzieś na szóstem czy piątem piętrze jakiegoś domu, umieszczano drąg, na którym zawieszone były dwa wiadra—jedno wypełnione ulotkami, odezwami i broszurami, drugie — napełnione wodą i przedziurawione u dołu. Wobec wyciekania wody, wiadro, napełnione literaturą nielegalną, opadało coraz niżej, wreszcie — wywracało się, zasypując ulicę propagandą.

Sprawcy nigdy nie udało się pochwycić.

W ciepłe wiosenne wieczory wśród tłumu zapełniającego aleje Prateru — wytryskują nagle do góry rakiety i na tle czarnego nieba pojawiają się złociste hasła hitlerowskie lub szkarłatne komunistyczne...

Tajemnicza ręka maluje na chodnikach antyrządowe hasła i ozdabia mury portretami Führera...

W skrzynkach do listów znadują satyryczne ulotki i zuchwałe pamflety, wymierzone głównie przeciw ks. Stahrenbergowi...

Nad ranem odrzwia bram, zwłaszcza na przedmieściach, ozdobione są czerwonym znakiem Szlutzbundu — trzema strzałami, lub brunatną hitlerowską swastyką...

Na terenie walk lutowych, na Ottakringu i we Floridsdorfie — co noc na chodnikach widnieją nazwiska padłych robotników...

Specjalna służba policyjna zmywa co rano te napisy i co noc pojawiają się one nanowo...

...Tak oto wygląda oblicze podziemnego Wiednia — miasta straussowskich walców i beztroskiego śmiechu.

Kurt Wanderer.

---

*) W aresztach policyjnych 450 towarzyszy urządziło głodówkę (Czerwona Pomoc).

**) Precz z terrorem policji! (Czerwona Pomoc).

Tydzień ubiegły

Czytelnicy „Gazety Polskiej“ otrzymali w niedzielę 19 kwietnia egzemplarz pisma z dużą białą plamą. Przetarłszy oczy, ogarnęło ich zdumienie i zdziwienie. Uczucia były zapewne podzielone. Konfiskata nie należy z punktu wydawniczego do rzeczy przyjemnych. W wielu wypadkach nie przynosi również zaszczytu ideowego pismu, czasami natomiast może śmiało służyć jako legitymacja uznania.

Otóż tego stanowczo nie można powiedzieć o pierwszej konfiskacie „Gazety Polskiej“. Pismo to uważa się za ideowego przedstawiciela obozu majowego, za organ najbardziej ortodoksyjnych piłsudczyków. Naczelni publicyści pisma zasiadali w rządach pomajowych. Po opuszczeniu stanowisk urzędowych zajmowali poważne stanowiska w życiu społeczno - politycznem. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że posiadali poważny wpływ w okresie premjerostwa p. prof. Kozłowskiego.

Prawdziwych piłsudczyków obowiązuje dyscyplina, całkowite podporządkowanie osobistych animozyj interesom ogólno-państwowym, zupełne wyrugowanie prywatnych spraw. Wydaje się, że mówienie o lojalności wobec towarzyszy broni i idei jest rzeczą conajmniej zbędną. A tymczasem...

Szef obecnego rządu p. Marjan Zyndram-Kościałkowski, jest człowiekiem obozu. Legjonista, peowiak. Na długo przed przewrotem majowym odgrywał dużą rolę polityczną w naszem życiu politycznem, był szermierzem idei państwowej Marszałka Piłsudskiego. Po przewrocie postawiony został na czele jednego z województw kresowych. W okresie bardzo ciężkim, po zamordowaniu ś. p. ministra Bronisława Pierackiego, zostaje z woli Marszałka Piłsudskiego powołany na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, by wreszcie z rąk najwyższego czynnika konstytucyjnego, t. j. Prezydenta Rzplitej otrzymać szefostwo rządu.

Można oczywiście mieć zastrzeżenia wobec Premjera czy też innych członków Rządu. Krytyka stoi otworem, ale obowiązuje jakaś zasada lojalności i uczciwości, szczególnie ze strony ludzi ideowo bliskich i zajmujących niegdyś eksponowane stanowiska. A więc ze strony ludzi, którzy rozumieją co to jest technika rządzenia.

Otóż jednego zarzutu nie można postawić obecnemu rządowi: bezczynności. Pracuje bardzo wiele, wykazując olbrzymią energję. Jest to obecnie konieczne, gdyż wiele, niestety, u nas zaniedbano.

Publicyści „Gazety Polskiej“, mimo swoich bliskich związków z Rządem, ze względów chyba tylko osobistych, jeśli się zważy, że zarówno premjer Kościałkowski, jak inni członkowie jego rządu należą do tego samego obozu ideowego, prowadzili wojnę podjazdową.

Zwróciliśmy na to pierwsi uwagę, wskazując na istnienie mafji, która utrudnia normalną pracę Rządowi, robiąc arcy-szkodliwą dywersję. Wojna ta nie zawsze była prowadzona fair. Rząd nie reagował na różne „linje podziału“ i inne wystąpienia, wychodząc widocznie z założenia, że „Gazeta Polska“ nie jest reprezentantką jakiegoś obozu, ale jednem z licznych pism codziennych, stojących na gruncie idei Marszałka Piłsudskiego. Poglądy tam wyrażone należy traktować jako pinje piszących publicystów. I na tem koniec.

Pogląd taki zresztą utrwalił się również w społeczeństwie. Najtrudniej było się z tem pogodzić „Gazecie Polskiej“, która chciała się uważać za trąbę jerychońską obozu majowego.

Dla pisma więc za jakie chce uchodzić „Gazeta Polska“ konfiskata winna być rzeczą conajmniej nieprzyjemną. A tymczasem... Nad tytułem gazety widnieje mankieta złożona z wołowych czcionek „Drugi nakład po konfiskacie“.

A więc „Gazeta Polska“ poczytuje sobie za zaszczyt, że została skonfiskowana, chwali się tem, reklamuje. O mój Boże, a jak się to pismo oburzało kiedy inne pisma tak postępowały. Ale „Gazeta Polska“ idzie dalej aniżeli poszły inne pisma. Może wynika to z faktu, że po raz pierwszy uległa konfiskacie. W każdym razie są to objawy, powiedzmy delikatnie, conajmniej megalomanji.

Pod 2-szpaltowym tytułem znajduje się notatka o konfiskacie, w której znajdujemy następujące zdanie: „Dzisiejszy numer „Gazety Polskiej“ z polecenia Rządu został skonfiskowany...“

Z polecenia Rządu? Czyżby wybitni znawcy prawa państwowego z „Gazety Polskiej“ nie wiedzieli kto konfiskuje? A może „Gazeta Polska“ wyobraża sobie, raczej chce wmówić czytelnikom, że dla jej skonfiskowania zwołano conajmniej posiedzenie Rady Ministrów, na której rozważano artykuł wstępny „Gazety Polskiej“ i po długiej dyskusji z ciężkiem sercem postanowiono pismo skonfiskować?

„Gazetę Polską“ skonfiskował poprostu ten sam cenzor, który konfiskuje inne pisma warszawskie. I ten urzędnik, podobnie, jak każdy inny, jest nosicielem części władzy i tylko on, jako przedstawiciel Rządu poleca zajęcie pisma! Po co więc ta reklamiarska przesada?

Dalej czytamy dumnie i groźnie. „Sprawę konfiskaty kierujemy na drogę sądową“. Oświadczenie zbędne. Robi to bowiem sam Komisarjat Rządu.

Mamy nadzieję, że po następnej konfiskacie „Gazeta Polska“ będzie już skromniejsza.

I jeszcze jedno... Pp. Miedziński i Matuszewski wybrali jako moment ataku okres wyjazdu premjera zagranicę. Gdyby nie przypadek — choroba premjera, czytałby on ten numer „Gazety Polskiej“ w pociągu do Budapesztu, nie mogąc ze względów na stosunki międzynarodowe zawrócić, by zrobić porządek z dywersantami. Jeżeli chodzi o skuteczność działania, moment był wybrany dobrze... ł a t w i e j j e s t a t a k o w a ć z t y ł u. Trudno jednak powiedzieć, by gra dwuch pułkowników M. była fair...

Ale takie są widać ich obyczaje...

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... sprawa obsadzenia stanowiska Komisarza Rządu m. Gdyni, opróżnionego przez p. Sokoła, została już definitywnie przesądzona na korzyść płk. Ryszanka?

✶

... stanowisko dyrektora jednego z największych w Warszawie amerykańskich biur filmowych powierzone zostało człowiekowi, który w okresie rewolucji październikowej w Rosji sprawował niezbyt pogodne obowiązki w t. zw. Czeka, a następnie „przeniósł się“ do... Denikina?

✶

... poplarny autor tekstów rewjowych, ostatecznie zrażony zarówno do rewji, jak i miłości, postanowił wydawać... pismo filmowo - teatralne? Andrzeju, lepiej do tej branży nie właście!

✶

... jeden ze znanych podczas wojny polsko - bolszewickiej partyzantów, który narobił wiele szkód na tyłach armji sowieckiej, obecnie postanowił, razem z garścią swych dawnych podwładnych wyjechać do... Abisynji, aby walczyć tam przy boku Negusa?

✶

... afera przemytnicza f-my wiedeńskiej Kniże, wykryta przez naszą straż graniczną, nietylko, że nie została całkowicie zlikwidowana, ale w ostatnich dniach wciągnęła w swą orbitę szereg nowych osób korzystających z usług wiedeńskiego domu konfekcyjnego?

✶

... już w najbliższej przyszłości Warszawa miała pozyskać cztery nowe kinematografy, z tego dwa przy Nowym świecie?

✶

... po lotnikach, mundury z wykładanemi kołnierzami i krawatami miały być wprowadzone również do oficerskiego, narazie, korpusu policyjnego?

✶

... znany malarz warszawski, ulubieniec pań z naszego highe-life'u, miał już w pierwszej połowie maja wyjechać żaglówką w samotną podróż przez... Atlantyk?

✶

... koncepcja z powierzeniem jednego z teatrów koncernu TKKT — Osterwie, została całkowicie poniechana i dyr. Osterwa prawdopodobnie w nadchodzącym sezonie pozostanie jedynie przy Instytucie Reduty?

✶

... niedzielny numer „Gazety Polskiej“ został skonfiskowany w drukarni przy ul. Szpitalnej przez przod. X-go Komisarjatu... p. Leona Kozłowskiego. Czyżby nomen -omen?

FRASZKI

PRZED PORTRETEM JEDNEGO Z B. MARSZAŁKÓW SEJMU

Każdy wzdycha na portret patrząc się ozdobny:
— „ O Kaziu! Jak ty jesteś do Kostka podobny!“

NA KONFISKATĘ „GAZETY POLSKIEJ“

Nareszcie raz nam dano (niestety z przypadku!) —
Tabelę licytacji bez bzdurnych dodatków.

NA K(ATOLICKĄ) A(GENCJĘ) P(RASOWĄ)

Kapie... kapie... kapie.... kapie...
Co tak kapie?... To ty K. A. P‘ie?

NA „WARTĘ“

Czasem biorę ją do ręki —
Owszem, owszem — papier miękki.

SATYRA NA POETĘ GAŁCZYŃSKIEGO

Chodzi i pije —
Żyga i żyje.

DROGA UPADKU NOWOCZESNEJ PANNY (wyzn. mojż.)

Liga Praw Człowieka, Marks, Krzywicka, Boy.
Tuwim, Ips, Ziemiańska, Adrja, wreszcie ... jakiś „goj“.

O. Set.

Kto to jest?
»Wsypa« p. Kadena

W tygodniu ubiegłym bawił w Warszawie, przejazdem w drodze do Moskwy znakomity reżyser filmowy Lubitsch, jeden z asów wytwórni Paramount. Faktu tego, dość obszernie już omówionego zarówno przez prasę codzienną, jak i fachową, nie poruszylibyśmy raz jeszcze, gdyby nie garść **pikantnych szczegółików.**

Jak wszystkim wiadomo na filmowem grzęzawisku Warszawy, rosną różne, mniej lub więcej woniejące kwiatuszki. Należy do nich m.in. „wybitny polski filmowiec“ p. Danny Kaden, który zawsze opowiadał kolegom po „branży“ **o zażyłej przyjaźni,** jaka go od szeregu lat miała łączyć z... Lubitschem.

Nikogo też nie zdziwiło, gdy na czoło gromadki oczekującej na lotnisku przylotu aeroplanu z Lubitschem, wysunęli się pp.: Danny Kaden i Ryś Ordyński dwaj, w licznych bojach wypróbowani przyjaciele Lubitscha.

Samolot przyleciał, wysiadł z niego reżyser amerykański, kordjalnie przywitał się z Ordyńskim, niemniej kordjalnie ściskał dłoń Kadena, klepał go amerykańskim ponoć zwyczajem po ramieniu, co i raz wołał doń „Hallo!“, ale w pewnym momencie, gdy p. Kaden wyświadczał jakąś usługę p. Lubitschowej, amerykański gość spytał najbliżej stojącego „branżystę“, wskazując na Kadena:

— A jak on się nazywa?

No, ale czas i dolary robią swoje. Może dzisiejszy krezus Paramountu zapomniał już o swym dawnym, wypróbowanym przyjacielu Kadenie... W „branży“ wszystko jest możliwe.

(pm).

To bardzo brzydko,
Panie mecenasie K.

W wydziale handlowym sądu okręgowego toczyła się sprawa w związku ze skargą adwokata Feliksa Kronszteina przeciwko syndykom masy upadłości Polskiego Banku Przemysłowego o zwołanie walnego zgromadzenia w celu zmian planu wypłat wierzytelności.

Sama sprawa Polskiego Banku Przemysłowego, którego upadłość pociągnęła za sobą straty kilkunastu miljonów złotych drobnych ciułaczy, nadaje się do bardzo obszernego omawiania. Powrócimy do niej w swoim czasie, obecnie interesuje nas jeden mały odcinek tej sprawy — a mianowicie skarga pana adwokata Kronszteina. Adwokat Kronszteina, znany specjalista do spraw cywilnych i handlowych wystąpił w imieniu swoim, swojej... żony, syna i szwagierki jako grona wierzycieli banku. Nie byłoby w tem jeszcze nic dziwnego gdyby nie fakty, które wyszły na jaw na rozprawie.

Jeden z syndyków banku obywatel ziemski Roszkowski wręcz oświadczył, . że mecenas Kronsztein przed wystąpieniem do sądu zwrócił się do adwokata, reprezentującego syndyków banku i złożył propozycje **wypłacenia mu jego wierzytelności 1.000 dolarów poza kolejnością wypłat.** Syndycy wypłacają obecnie należności t. zw. uprzywiljowane, a więc naprzykład skarbu państwa, a należność adw. Kronszteina miała charakter prywatny, musiałby on więc zadowolnić się nikłą częścią należności, po całkowitem spłaceniu, wierzycieli uprzywilejowanych. Adwokat Kronsztein, jak wynikało ze słów syndyka, proponował, ażeby jego wierzytelność potraktowano jako uprzywilejowaną, oświadczając, że jeżeli to nie nastąpi to **„on pokaże“.**

I pokazał, bo wystąpił do sądu.

Czy skarga adwokata Kronszteina była słuszna, czy nie, nie chcemy w to się wdawać. W każdym razie metody tego rodzaju, jeżeli wierzyć słowom syndyka, którym adwokat nie zaprzeczył, **nie licują ani z zawodem adwokata ani z godnością tego stanu.** Jakże można zażądać dla siebie przywilejów, nie tylko sprzecznych z prawem, ale wręcz pachnących nadużyciem, grożąc, że w przeciwnym razie wyciągnie się konsekwencje. Adwokat Kronsztein nie może tej sprawy zostawić bez wyjaśnienia, bo ogół wierzycieli Polskiego Banku Przemysłowego będzie wtedy conajmniej... zdziwiony.

(z).

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Mleczna Droga“ (Kino „Światowid“). — Recenzja z tego filmu jest może, z powodów od nas niezależnych, nieco spóźniona, ale z pewnością przyda się wielu Czytelnikom, ponieważ „Mleczna Droga“ ukaże się z pewnością na wielu ekranach.

„Milky Way“ nie jest filmem specjalnie udanym. W każdym razie powrót Harolda Lloyda nie jest bynajmniej triumfalny. Bardzo źle się stało, że wypuszczono „Mleczną Drogę“ w chwili, kiedy wyświetlane są „Dzisiejsze Czasy“. Tem jaskrawiej występuje więc ubóstwo umysłowe i pomysłowe filmu Lloyda! Trudno uwierzyć, że mogą znaleźć się głupcy, którzy stawiają Chaplina i Lloyda na jednym poziomie!!

„Mleczna Droga“ jest filmem nierównym, przyczem druga połowa jest znacznie lepsza, gdyż zawiera szereg dobrych „gagów“, z których najlepsze, to: jazda taksówką z źrebakiem, dama z „unikami“, ekscentryczność Harolda, kawał z kapeluszami i t. d. Podczas pierwszej połowy filmu trudno się nawet uśmiechnąć. Ponadto stwierdzić należy, że dwa doskonałe pomysły „ściągnięte“ są żywcem ze „Świateł Wielkiego Miasta“ Chaplina: czkawka podczas przemówienia, oraz przebieg meczu bokserskiego.

Harold Lloyd robi, co może, aby wypełnić luki scenarjusza, wczem dzielnie pomaga mu świetny aktor Adolf Menjou, któremu kazano tutaj grać rolę kretyńskiego manegera. Ogółem — film raczej słaby. Obejrzeć można za taniutkim biletem.

„Bohaterowie Sybiru“ (Kino „Capitol“).— Śmiało można powiedzieć, że jest to jeden z najgorszych filmów polskich ostatnich czasów. Gruntownie skompromitowali się czterej panowie W. (Walden, Waszyński, Wywerka i Wars), każdy na własną rękę. Największe zastrzeżenie natury moralnej budzi fakt żerowania przez autorów scenarjusza na uczuciach, bądź co bądź świętych dla wielu ludzi. Jest to w dodatku żerowanie gruboskórne i nieudolne. Dziwić się jedynie należy, że nasza cenzura filmowa, tak skora do rozmaitych heroicznych wyczynów, tym razem przymknęła oczy na bałamutny patrjotyzm tego filmu.

A jakie to wszystko nudne i beznadziejne! Maszerują w tej wacie i maszerują. A skończyć nie mogą!

A gra artystów? Też pożal się Boże! Krystyna Ankwicz i bezmyślny Brodisz bardzo kiepscy, Bodo bardzo słaby, jak zresztą we wszystkich filmach własnej produkcji. Wyjątek stanowią: Junosza - Stępowski, doskonały w małym epizodziku z kokainą, oraz Leon Wyrwicz, który obronną ręką wyszedł z beznadziejnej roli, nakreślonej przez scenarzystów. Widz jest szczęśliwy, kiedy miły Lwowianin zostaje wreszcie zbity, i przestaje cierpieć na ból zębów. Żeby takiemu Wyrwiczowi kazać grać tak bzdurną rolę, to też osobliwy pomysł! Miejmy nadzieję, że świetny ten aktor pokaże nam wkrótce swój talent w pełnym blasku w innym filmie, mniej kiczowatym.

W sumie: kryminał w najpopularniejszym gatunku. Doskonały amalgamat wszystkich wad krajowej produkcji filmowej. Nie warto oglądać, nawet gdyby ktoś miał widzowi dopłacić do tego!

„Wesołe Szaleństwo“ (Kino „Majestic“). — Trudno właściwie pisać o tym miłym filmie. Jest to coś w rodzaju domowej pieczeni: specjalnych rozkoszy nie daje, ale w żadnym wypadku nie wywoła zaburzeń żołądkowych!

Scenarjusz tej komedji jest z kolei sto czterdziestą szóstą odmianą odwiecznej historji o standaryzowanym tytule: „Wielka księżna i chłopiec hotelowy“. Trzeba jednak przyznać, że temat jest tym razem wyjątkowo dowcipnie opracowany, z dużą dozą satyry i ironji, przyczem sytuacje są często niezwykle zabawne.

Sprawna i inteligentna reżyserja nadaje filmowi odpowiednie tempo. Czołowa para bohaterów — przemiła. Francis Lederer, którego afisz reklamuje, jako „zanego króla humoru“, aczkolwiek zawsze dotąd był aktorem dramatycznym — wywiązał się bez zarzutu z roli młodego księcia. Budzi powszechną sympatję i nikt się nie dziwi, że pozyskał względy uroczej Frances Dee, która w tym filmie okazała się pierwszorzędną aktorką komedjową.

W rolach epizodycznych — aktorzy sumienni. W rezultacie więc film miły i pogodny, o chrakterze wybitnie rozrywkowym. Można obejrzeć. Przyjemność psuje nadprogramowy, przedpotopowy tygodnik Foxa, wobec którego nawet osławiony PAT jest wprost ultra - nowoczesny!

„Straszny Dwór“ (Kino „Apollo“). — Pomysł sfilmowania „Straszengo Dworu“ nie był szczęśliwy. A już realizacja tego pomysłu wypadła aż nazbyt kiepsko. Scenarjusz i „drehbuch“ opracowano źle, a najbardziej „sknocił“ operator Wywerka. Tak podłych zdjęć nie było już dawno! Najgorzej na tem wyszły Szczepańska i Grossówna.

Z całego tego niepotrzebnego humbugu obronną ręką wyszl: Sielański i Orwid, którzy reprezentowali humor. Należałoby zapytać, jaka była w tej ponurej sprawie rola pana Adama Wieniawskiego, który objął kierownictwo muzyczne i dopuścił do zaangażowania do ról operowych miernych artystów, a do dyrygowania Moniuszką kapelmistrza „od szlagierów“. Czy już w całej Polsce nie było innego kapelmistrza, niż p. Tadeusz Górzyński?!

Jeśli po tem wszystkiem zapytacie, mili Czytelnicy, czy mimo wszystko warto wybrać się na „Straszny Dwór“, odpowiemy przytoczeniem autentycznego faktu: kiedy urządzono pokaz polskich filmów z okazji pobytu w Warszawie reżysera Ernesta Lubicza, znakomity gość... zasnął w czasie demonstrowania „Strasznego Dworu“.

A pokazano mu tylko dwa akty!!

„Król Broadway'u“ (Kino „Hollywood“).— Dyrekcja kina „Hollywood“ nie chce widocznie psuć swojej klijenteli. Dba o złoty środek. Skoro tym razem dała zupełnie przyzwoitą rewję, to zato wybrała film piekielnie nudny! Dwa grzyby w barszczu, to widocznie zadużo?

W rewji skecz był lepszy, niż w poprzednich programach. Trio akrobatyczne na dobrym poziomie. Honarska, jak zwykle, bardzo słaba. Hanusz także nieco zawiódł, gdyż repertuar wybrał dość niefortunnie. Tym razem przelicytował go u publiczności, i to zupełnie słusznie, świetny duet taneczny Kamińskich.

Film „Król Broadway'u opiewa skomplikowaną historję nawpół kabaretową i nawpół gangsterską. Wszystko razem jest śpiące i nudne. Realizacja Allana Croslanda, reżysera, który dał nam ongiś kilka dzieł pierwszorzędnych, pozostawia wiele do życzenia. Z całego, nieciekawego naogół zespołu, na czele którego znajduje się niemrawy Edmund Lowe, najbardziej wyróżnia się... uroczy piesek, który zdobył sympatję widowni.

Kino „Hollywood“ uporczywie wyświetla filmy muzyczne, co jest zupełnie niepożądane ze względu na złą aparaturę, i wskutek tego — skażony dźwięk.

X. 27.—

Łączka kretynów

Urodzaj na jubileusze nietylko nie słabnie, ale z tygodnia na tydzień przybiera na aktualności, czego najlepszym dowodem — „uroczysta“ kolacja wydana w salonach hotelu Europejskiego z okazji jubileuszu... 25-lecia pracy sceniczno - filmowej **p. Ryszarda Blumenfelda - Ordyńskiego.**

Niebardzo wiemy gdzie to uroczy pan Ryś, jak go nazywają pięknoduchy z „Wiadomości Literackich“ przepracował te dwadzieścia pięć lat. W ostatniem dzesięcioleciu zademonstrował nam ten genjalny kolega Cecil B. de Mill'a kilka filmów własnej reżyserji i niestety — kilka sztuk teatralnych.

Ani w jednych ani w drugich nie błąkał się duch Sternberga czy Reinhardta, zarówno filmy, jak i sztuki były reżyserowane plus minus na poziomie... PIST'u, ale że to „dzieło“ p. Rysia, więc te i owe, snobizujące się żydóweczki spod bandery p. Krzywickiej entuzjazmowały się p. Ordyńskim.

Temu tylko należy zawdzięczać, że p. Ordyńskiego dzisiaj nietylko toleruje się, nietylko kupuje mu sleepingi do rozlicznych raidów „propagandowych“ po szerokim świecie, ale zaprasza na godne stanowisko prezesa pozornie dość poważnej organizacji filmowej, jeśli wogóle można mówić o jakiejkolwiek powadze polskiego filmu.

Kolacja „jubileuszowa“ była bardzo wytworna. Ryś Ordyński we fraku przy orderach czuł się znakomicie, czego niemożna było powiedzieć o innych reprezentantach „branży“ obecnych na „jubileuszu“, przyzwyczajonych raczej do skromnych, wiechowskich... anglezów i jarmułek, niż do fraka.

Oprócz „branży“, w kolacji wzięło udział kilka mniej lub więcej wybitnych aktorek, jeden dygnitarz niski i jeden bardzo wysoki, tudzież redaktor Kończyc.

Stary pies.

Raj tanga!

Gdzie? W »Adrji«

Większej i milszej niespodzianki nie mógł chyba Dyrektor Moszkowicz zgotować swym miłym bywalcom i gościom, jak zaangażować do warszawskiej „Adrji“ Eduarda Bianco, znanego na szerokim świecie jako „król tanga“ wraz z jego wspaniałym zespołem.

„Król tanga“ to nie bluff, to nie jest przesadna tak często reklama, to prawdziwie, i dobrze zasłużone wyróżnienie, zdobyte przez Eduarda Bianco za swą i zespołu swego grę, którą zachwycał b. króla Hiszpanji Alfonsa XIII, Królowę Rumunji — Marję, Księcia Następcę Tronu Italji, Prezydenta Turcji Mustafę Attatürka i wiele innych.

Nie żałował Dyrektor Moszkowicz trudu i starań, by u Władz uzyskać zezwolenie na angażowanie tego światowej sławy zespołu.

Czego jednak Dyrektor Moszkowicz nie robi, by swych bywalców zadowolnić?

Gra zespołu Eduardo Bianco to doprawdy szczyt, jaki osiągnąć da się w odtworzeniu tanga, ale tego prawdziwie argentyńskiego!

Co za rytm, jakie odczucie smętku, a przytem jakie oddanie tempa!!

Zdaje się, że ten dziesięcioosobowy zaspół muzyków - śpiewaków to jeden tylko instrument oddający jednak w swem brzmieniu całą wielką orkiestrę.

Ale Eduardo Bianco ze swym zespołem, któryby snadnie mógł zapełnić całkowity program „Adrii“ — to tylko część tego programu, który w swej całości tworzy prawdziwy **festival** piękności, wdzięku, tańca i zręczności.

(r).



Menażerja Warszawy

Oczywiście jest... redaktorem. Sprytna główka każe mu, posiadaczowi niezbyt aryjskiej twarzy i super - szlacheckiego nazwiska, mieć zawsze przy sobie jakiś odpowiedni „parawan“. Ostatnio parawanem takim jest pan w fantastycznym mundurze, szczodrze obwieszony orderami. „Redaktor“, to się rozumie,... zbiera ogłoszenia. Trudno ustalić do jakich pism, czy kalendarzy, ale napewno „kanciarskich“. Jak to się skończy — wiadomo. W menażerji „redaktor“ odpoczywać będzie z hijenami.

Mówić o nim źle, to prawie... świętokradztwo, a przecież znając tego brodatego pana, barona naszego przemysłu, jego wszystkie machlojki, wysługiwanie się obcemu kapitałowi, chociażby z wyraźną stratą dla rodzimego kraju, nie sposób wyzbyć się podskórnego wtsrętu. Żeruje od lat, konsekwentnie, zimny, bezwzględny, czasami wystraszony, częściej sam strasząc swych podwładnych. W menażerji, siedziałby między lampartami, jednakże napewno zagryzłyby go, bo cuchnie szakalem...

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9,— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca Włodzimierz Popławski.

Druk. Nowowiejska, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.